Ostrzeżenie! Czasopismo sieje pacyfistyczną propagandę i drwiąco odnosi się czujności obywatelskiej

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 48 (1888) ● 27 listopada–3 grudnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



SYSTEM ANTYRAKIETOWY

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 10853f64ab

WOJNA DOMOWA

W Nowym Lipowcu, Rudniku i Mołodyczy spadły rosyjskie rakiety Ch-101. Spadły na pola, wywaliły dziury w ziemi, ale dużo mniejsze niż lej po bombie z lipca. W polskim dyskursie publicznym trwa na ten temat ożywiona dyskusja, w której – równoprawnie i koło siebie – występują dwie narracje. Pierwsza: to skandal, że te pociski nie zostały zestrzelone, mogły spaść na ludzi, zabudowania, miasta i wsie, jak długo możemy liczyć na szczęście! Druga: to były pociski manewrujące, miały po cztery systemy naprowadzające każdy, przyleciały tu specjalnie, Rosja nie może mówić, że to przypadek. Czy nikt nie widzi tu niejakiego konfliktu logicznego? Jeśli to były pociski manewrujące, nad którymi Rosja ma pełną kontrolę, to fakt, że wywaliły dziurę w ziemi daleko od siedzib ludzkich, nie jest naszym szczęściem, tylko rosyjską decyzją. Chyba że ktoś chce zasugerować, że rosyjskie decyzje są naszym szczęściem.

Wobec powyższego wydarzenia minister Kierwiński doznał kolejnego pobudzenia i ogłosił, że do systemu alertów RCB – które można sobie wyłączyć, jak kogoś wkurwiają – dojdzie system SOIA, który będzie robił to samo, jak ściągniemy aplikację, oraz, od sierpnia przyszłego roku, całkiem nowy system cell broadcast. Ten ostatni – z dumą poinformowała rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka – „w sytuacji zagrożenia przejmuje nasz telefon, pojawia się nie tylko komunikat na telefonie, ale również wibracje i dźwięk" i „nie można wypisać się z tego systemu". Kto się założy, że rosyjscy hakerzy natychmiast opracują program, który pozwoli „wypisać się z tego systemu", a przy okazji zainstaluje w naszym telefonie różne inne programy, które mogą okazać się korzystne z punktu widzenia rosyjskiego wysiłku zbrojnego? Kto się założy, że sporo Polaków – po tym, jak rząd zechce „przejąć ich telefon", żeby wyć im po nocy – uzna, że jest to w zasadzie akceptowalna cena?

Prezydent Karol Nawrocki udał się do Argentyny, gdzie spotkał się z prezydentem Javierem Mileiem. Milei wsławił się postulatami takimi jak likwidacja publicznego szkolnictwa i służby zdrowia, argentyńskiego banku centralnego i waluty (oficjalną walutą miałby stać się dolar amerykański), prywatyzacja dróg publicznych oraz legalizacja handlu organami i prostytucji. „Nasze stanowiska zgadzają się co do pewnych recept, takich jak chęć ograniczania administracji i tej ideologii, która ogranicza wolność gospodarczą, w kontekście choćby polityki Unii Europejskiej, która coraz bardziej restrykcyjnie podchodzi do praw gospodarczych" – zameldował po spotkaniu prezydentów minister Przydacz.

Rafał Trzaskowski nie przedłużył zgody na miasteczko przed Trybunałem Konstytucyjnym i w poniedziałek protestujący mają się rozejść. Po pierwsze: powodzenia. Po drugie: argumenty miasta – zajęcie jezdni, utrudnienia dla mieszkańców i innych osób przebywających w tym rejonie, prawdopodobieństwo wystąpienia zagrożeń bezpieczeństwa i porządku publicznego, spowodowanie utrudnień w ruchu dla służb porządkowych oraz skargi mieszkańców – jakoś nam przypominają szeroko stosowany w PRL art. 145 kodeksu wykroczeń, dotyczący „zaśmiecania miejsc publicznych", z którego kolegia skazywały za rozrzucanie antyrządowych ulotek. My się oczywiście bardzo cieszymy, że demokratyczna władza sięga do bliskich naszemu sercu tradycji, ale czy Bążur jest pewien, że o to mu chodziło?

Marszałek Czarzasty miał swoją chwilę triumfu, kiedy wygłosił pamiętne zdanie, że policja stoi pod Trybunałem Konstytucyjnym, bo „dyskoteki się pilnuje" – wszyscy anypisowcy, nawet antyczarzaści, docenili ten błyskotliwy żarcik i przekazywali go sobie w rolkach i w memach. Niestety, pan marszałek nie wie, kiedy skończyć – co go różni od jego poprzednika na stanowisku szefa lewicy. Ostatnio Włodzio zabrał głos w sprawie zespołów poselskich, nad którymi postanowił przejąć kontrolę – czego skądinąd nie robił żaden z jego poprzedników na stanowisku marszałka sejmu. W temacie zespołu ds. tatara polskiego (przekąski, nie przedstawiciela mniejszości): „Panie prezesie Kaczyński, też lubię tatara, ale nikt go chyba nie atakuje, polski sejm nie jest dyskoteką, chce pan robić dyskotekę, niech pan robi u siebie w domu". W sprawie likwidacji pikiety przed TK: „Dobrze, że miasteczko zniknie, bo idzie zima, lepiej dyskoteki mieć w klubach, a nie na świeżym powietrzu". Panie marszałku, ten dowcip się odrobinę zestarzał.

Mateusz Morawiecki nie ma najlepszych notowań, toteż zaczyna, co tu dużo mówić, kozakować. Najnowszy obiekt jego ataku to banki: „Dzisiaj spread pomiędzy marżą depozytową a marżą kredytową – wskaźnik kredytów do depozytów – wynosi 63 proc. Nic nie muszą robić, jeszcze mniej kredytów chcą udzielać, na jeszcze bardziej pęczniejących workach złota chcą siedzieć i nic nie robić! Ja jestem, jak to się mówi, banksterem, niech będzie: strategia bankstera na banki! Opodatkować! Proszę, panie ministrze finansów, panie premierze, na stole 20 miliardów, skorzystajcie z tego, przeznaczcie to na służbę zdrowia!". Tak na nasze oko, to Morawiecki nie walczy z PiS-em ani z Konfą, wziął się za Razem. Dla nas git, idee lewicy muszą w końcu zwyciężyć.

AWŁ

BLOG Z URNY BLAGIERA URBANA

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Grudzień 2014 r.



Świętego Mikołaja

Fanatycy narodowo-katoliccy zapowiadali bojkotowanie i pikietowanie Empiku, ponieważ w reklamach tej firmy wystąpił żywiący się Biblią Nergal oraz Maria Czubaszek, która przyznała się do dwukrotnej aborcji. W związku z protestami Czubaszek zaprzestała dalszych skrobanek. Czubaszek ogłosiła jednakże we „Wprost", że nie obchodzi świąt, a na Wigilię samotnie gryzie parówki. Ja też świąt nie obchodzę. Może nie obchodźmy ich razem?

Świętego Ambrożego

Czy istnieje autokanibalizm? Bo Daniszewska zajada się swoimi palcami u nóg i rąk. Co jeszcze u nas w domu? Chodzę w łachmanach. Od kiedy Azor zobaczył w telewizji TVN psy zagłodzone przez ludowca, dostał obsesji głodu. Kiedy jem, drapie mnie, żebym się podzielił, drąc pazurami wszystkie moje ubrania, każde w cenie małego samochodu po przebiegu.

Świętego Immacuela

Jerzy Jachowicz, dziennikarzyna wyspecjalizowany w sprawach kryminalno-prawnych, twierdzi, że media prorządowe mianowały mnie, sługusa Moskwy, głównym komentatorem i autorytetem moralnym. Tymczasem powinienem siedzieć za podżeganie do zabójstwa Popiełuszki. „Byłaby to odpowiedzialność moralna" – pisze ten znawca prawa, wykluczając mnie z życia publicznego. Święte słowa, jestem tak niemoralny, że wypróżniam się niniejszym na Jachowicza i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, bo pod tą firmą prawoznawca występuje.

Świętego Piotra

Polityczny bliźniak Jachowicza Robert Tekieli pisze w „Gazecie Polskiej" z 3 grudnia: „Jeśli Solidarność nie dołączy do protestów 13 grudnia, wypisze na siebie wyrok śmierci. Musimy w Warszawie spotkać się wtedy wszyscy. Od wiosny muszą rozpocząć się blokady, kolejne marsze i protesty. Tworzenie majdanu musi być przygotowywane przez antysystemowe centrum, które będzie w stanie dogadać się z wszystkimi, od patriotycznych kibiców po zwolenników Radia Maryja. Sprawy zaszły za daleko. Jeśli ktoś myśli, że prawdziwą wolność można dziś w Polsce osiągnąć za pomocą kartki wyborczej, myli się. Prawdziwa wolność zawsze ma cenę krwi".

Jeżeli Tekieli puchnie od nadmiaru krwi, to polecam stacje krwiodawstwa. Na majdanie elegancko byłoby się podpalić. Jest zima, przy płonącym Tekielim koledzy się ogrzeją.

Świętego Romatyka

Od lat wszyscy politycy lewicy i centrolewicy głoszą, że te siły muszą się zjednoczyć, a będą potęgą. Każde posunięcie zjednoczeniowe kończy się jeszcze większym rozbiciem. Dziwny pech. Miller zaproponował jednoczenie lewicy wokół wspólnego kandydata na prezydenta. Wysunął Kalisza, którego wcześniej wyrzucił ze swojej partii za jednoczenie jej z Palikotem.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Miller Kalisza nie uzgodnił ani z władzami SLD, ani z innymi organizmami lewicy. Kierownictwo Sojuszu odrzuciło Kalisza. Miller uzewnętrznił swoją słabość we własnej partii, podmył swoje przywództwo. Upokorzył też Kalisza i odarł z resztek powagi.

Sierakowski na kandydata lewicy proponuje Biedronia albo Nowacką. Palikot siebie we własnej osobie. Możemy spodziewać się pięciorga kandydatów dążącej do zjednoczenia lewicy. Na pocieszenie wyborców lewicy zauważyć należy, że lewica, deklarując chęć jednoczenia się, nie zdradza, wokół czego ma się zespalać ani po co. To cel sam dla siebie.

Świętego Daniela

Wyborcy mają do dyspozycji 100 proc. głosów. Kandydat PO–PSL Komorowski weźmie 60 proc. Kandydat PiS-u i satelitów Duda 25 proc., Korwin-Mikke 2 proc. Faszysta 1 proc. Głosy nieważne: 2 proc. Pięciu kandydatów lewicy podzieli się 10 procentami głosów, z czego 6 punktów weźmie kandydat SLD mającego pieniądze i struktury terenowe. Chyba że na koniec kandydatem będzie z braku laku Miller. Wtedy 5 proc. Procenty piwa też uderzają do głowy. Naprawdę dobry wynik, powie Miller. Jakbym go już słyszał.

Świętej Joanny Franciszki

Na warszawskim przedmieściu Ursynów odbyła się wystawa kotów. Przybyła na nią Daniszewska, ale nie pozwolono jej przemówić. Kotów nie wolno denerwować, są delikatniejsze niż wyborcy.

Mgr prawa Daniszewska praktykuje medycynę. Leczy wszystko: choroby umysłowe, impotencję, raka, katar. Jako mój lekarz pierwszego kontaktu cięła mi brudnymi nożyczkami pachwinę, mając w sobie 2 promile. Usunąłem ją z funkcji lekarza i weterynarza rodzinnego, o czym zawiadamiam izbę lekarską i izbę leczenia zwierząt.

Świętej Joanny (cd.)

Wynalazczość w Polsce wciąż skupia się na sposobach odcięcia dzieci od pornografii. To katolicki postęp techniczny. Dziatwa, pozbawiona porno w sieci, sama zacznie ją robić. Z początku nieudolnie. Cenzorzy twierdzą, że pornografia okalecza bachory, a nawet nastolatków emocjonalnie, moralnie i seksualnie. Doświadczenia czasów przedinternetowych nie potwierdzają tego. Wszystkie bez wyjątku byłe dzieci są psychicznie wypaczone przez dzieciństwo – chorobę, której trudno uniknąć. ❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Obarczyciele z „NIE"

Wszędzie wina Tuska i Państwo okładką („NIE", nr 47/2026) też wpasowujecie się w narrację prawicy... Może już dość? Może czas znaleźć sposób na uleczenie aparatu sprawiedliwości po deformach PiS? I niejaki minister Żurek wespół z organizacjami prawników próbuje, a Wy obarczacie winą Tuska...

Wojciech Batura

Bojkot maltański

Zbliża się zimowe (...) nachodzenie ludzi przez księży podczas tzw. kolędy. Na szczęście coraz mniej ludzi wpuszcza ich do swoich mieszkań, czując nieszczerość księży, ich kopertową interesowność i inwigilacyjne zachowania.

Ze względu na to, że coraz więcej księży (...) odbijało się od zamkniętych drzwi i spotykali się z odmowami wpuszczenia do mieszkań (...) wiele parafii wprowadziło zapisy na specjalnych formularzach dostępnych w biurze parafialnym, aby księża wiedzieli, jakie konkretnie mieszkania odwiedzać.

(...) Bądźmy w tym roku „maltańczykami" i solidaryzując się z lokatorami wyrzucanymi z mieszkań na poznańskim Osiedlu Maltańskim, namówmy kogoś ze znajomych, sąsiadów czy z rodziny do bojkotu tzw. kolędy. Oby tego rodzaju kolędowy bojkot „maltański" objął też media, w tym media społecznościowe.

Czytelnik

Przyjaźń na skwerze

We Wrocławiu powstaje Skwer Przyjaźni Polsko-Ukraińskiej. Nie negując sensu tej inicjatywy (niewątpliwie przyjaźń polsko-ukraińska również istnieje, obok niestety polsko-ukraińskiej nieprzyjaźni, i jako szlachetna relacja zasługuje na upamiętnienie), nie widzę jakichkolwiek przeszkód do utworzenia Skweru Przyjaźni Polsko-Rosyjskiej, która także przecież istnieje, oczywiście obok wybujałej obecnie nieprzyjaźni (...), i może właśnie jako występująca aktualnie w fazie wręcz zanikowej szczególnie zasługuje na przypomnienie.

GRL



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

PROMOCJA

ALFABET URBANA 2.0
Blisko 200 postaci
To nie jest odnaleziony tekst Jerzego Urbana.
To współczesna kontynuacja formuły „Alfabetu Urbana", przygotowana przez Gadzinowskiego, Ćwiklińskiego i Jarugę z udziałem AI.
Portrety, złośliwości, polityczne przekłucia i ironiczne diagnozy świata, który zmienił dekoracje, ale nie porzucił swoich śmieszności.
CHCESZ MIEĆ SWÓJ EGZEMPLARZ?
ZAREZERWUJ GO JUŻ TERAZ
ZADZWOŃ: 668 935 668
lub napisz: alfabet@tygodniknie.pl
tygodniknie.pl/alfabet
zeskanuj kod
ALFABET URBANA 2.0
Pierwszy próbny nakład – tylko 1000 egzemplarzy

eprasa.pl 10853f64ab

Przybieżeli z Balczunem, wrócili z Gierkiem

Bogdance nie stanie się krzywda – zapowiedział minister przed negocjacjami

Jak dobrze pójdzie, to minister aktywów państwowych Wojciech Balczun może zostać dla Bogdanki drugim Gierkiem. Co tu jest komplementem – nawet w oczach wielu wyborców KO, a dla PiS-u i lokalnej Konfy na pewno; Gierek był uważany za ojca kopalni i płynącego z niej dobrobytu. Balczun, zapowiadając budowę nowego szybu, daje jej życie po życiu.

Ma szansę zrobić coś, co żadnemu libkowi do głowy nie przyszło, a przy okazji zyskać elektorat w miejscu, gdzie Nawrocki wygrał 73 proc. Może też być ukamienowany, jeśli się nie wywiąże z deklaracji, bo wtedy jego środowisko nie daruje mu kryzysu energetycznego, jeśli Bogdanka zastrajkuje.

Balczun powiedział to, co eksperci mówią od dawna: kierunkiem górnictwa jest Lubelszczyzna. Zapowiedziany nowy szyb daje właściwie nieokreślony czas eksploatacji – co, podkreśla szef resortu, jest konieczne dla bezpieczeństwa energetycznego kraju. Minister powiedział również, że Bogdanka natychmiast powinna mieć zapewnione inwestycje, a górnicy podwyżki i szybko pracować nad dostępnością nowych złóż. Po takich deklaracjach nadzieje są ogromne, a konsekwencje ich złamania poważne dla każdego, kto będzie stał na czele MAP i Ministerstwa Energii.

Murem za Bogdanką

Po 25-dniowym proteście związkowców i załogi doszło w Bogdance do spektakularnych negocjacji z ministrem Balczunem w roli mediatora, i – jak to Joaquín Navarro-Valls nazywał – postulatora porozumienia. Rozmowy ciągnęły się przez osiem godzin, a pod budynkiem zarządu trwał przez cały ten czas wiec mieszkańców całego regionu. Byli przedstawiciele central związkowych i działacze społeczni z całego kraju: Barbara Popielarz z OPZZ, Ireneusz Pszczoła z NSZZ „Solidarność”, Piotr Ikonowicz z RSS. Przemówienia, syreny, koła gospodyń wiejskich serwujące bigos i zupę. Transmisje na żywo na cały kraj. Wiec pokazał jedność, determinację i obywatelską świadomość, o jaką libki nie podejrzewają ludzi z prowincji.

Tak się właśnie objawiła społeczność lokalna: kto na żywo czuł klimat tych obrad w Bogdance – a ministrowie czuli z pewnością – ten wie, że w razie nawet próby gry na czas strajk Bogdanki i dalsze działania lokalsów są oczywiste i będą dla władzy bolesne. Zaczęła się walka o dom – mówią związkowcy – a domu się broni do końca.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Sam protest miał niespotykaną skalę i oddźwięk wśród załogi i w regionie. W pierwszym tygodniu pod zarządem codziennie trwały masówki; załoga po zmianie wychodziła do protestujących. Okoliczna branża gastronomiczna dostarczała wyżywienie i publikowała oświadczenia o wsparciu załogi, która utrzymuje ich biznesy. Robotnicy, chłopi, inteligencja pracująca powiatu używali całych limitów sztucznej inteligencji do robienia postów w obronie Bogdanki. To nie jest drwina, naprawdę każdy angażował się, jak potrafił.

Walka od kuchni

Sami związkowcy robili, co mogli, żeby nie zniknąć medialnie pomiędzy walką o TK a zamachem w Krakowie. Od codziennego przypominania dziennikarzom twardych analitycznych danych aż po happeningi w socjal mediach: w kuchni socjalnej zarządu gotują rosół i mówią, że usuwają szumowiny – na razie z rosołu. Przy okazji wspominają, że po raz kolejny w tej demokracji bez prawa do strajku muszą być twórczy i aluzyjni, bo normalnie to by szybko to strajkiem załatwili.

26 października 2026 r. związkowcy wszystkich organizacji działających w LW Bogdanka rozpoczęli okupację w proteście przeciwko bierności zarządu spółki wobec wymuszeń cenowych większościowego właściciela i tym samym działania na szkodę spółki i załogi, która ponosi tego koszty (pisaliśmy o tym w „NIE” 44–45/2026). Związkowcy żądali rozpoczęcia rozmów w okupowanej sali konferencyjnej w Bogdance – z udziałem ministra Balczuna jako ministra sprawującego nadzór właścicielski nad spółkami skarbu państwa.

Do takiego spotkania doszło 19 listopada: po 25 dniach protestu, który odbił się echem nie tylko na Lubelszczyźnie, ale także w mediach i w sejmie, gdzie o Bogdance mówili lubelscy posłowie – tym razem twardo i solidarnie.

W sali konferencyjnej LW Bogdanka SA w obecności ministra Balczuna, jako mediatora i tego, kto ma nadzorować wykonanie porozumienia, zebrały się wszystkie możliwe strony, z zarządem i radą nadzorczą LW Bogdanka SA na czele. Był także wiceminister aktywów państwowych Grzegorz Wrona. W zależności od rezultatu związkowcy mieli zdecydować, czy protest przerwać, czy zaostrzyć. Wybrali trzeci wariant. Protest został zawieszony. Są satysfakcjonujące deklaracje, ale to tylko deklaracje.

Cóż szkodzi obiecać?

Tryb i okoliczności, w jakich padły, mają jednak bardzo istotny wymiar polityczny i stanowią precedens w polityce tego ministerstwa. Stąd dużą wagę przywiązują do nich dziennikarze i eksperci. Stały się faktem medialnym właśnie dzięki konferencji prasowej w Bogdance po zakończeniu rozmów ze związkowcami.

To wtedy Balczun – niczym Gierek – zapowiedział nowy szyb, co szybko podchwycili związkowcy, świadomi, co oznacza taka inwestycja. W kolejnych wypowiedziach medialnych minister swoją zapowiedź potwierdzał. Czy wiedział, co deklaruje – to się okaże, bo bariery są poważne.

W „GW” Jerzy Markowski przestrzegał, że za taką deklaracją stoi ogromne zobowiązanie. To inwestycja decydująca o losie Bogdanki, wiążąca na 5–7 lat, bo tego wymaga omawiana przez ministra technologia drążenia szybu. Jest jeszcze subtelny szczegół: nie tyle nawet, skąd wziąć 3 mld zł, co jak je przekazać Bogdance jako spółce giełdowej, żeby nie była to niedozwolona pomoc publiczna.

Jeszcze trudniejsze będzie ustalanie cen węgla dla energetyki tak, żeby zdrowe kopalnie były rentowne i Bogdanka nie padała już ofiarą wymuszeń.

Umowa zwana społeczną

W 2021 r. podpisano na Śląsku umowę, która określa zasady finansowania likwidowanych kopalń. Na jej podstawie ustalano ceny referencyjne warunkujące wysokość dopłat do kopalń śląskich. W tej chwili rząd i resorty odpowiedzialne pracują nad przepisami, które pozwolą zalegalizować 23 mld zł już wydane na jej podstawie – przez tę i poprzednią władzę. Do tej „umowy społecznej” odnoszą się rząd i związkowcy ze Śląska. Nie jest ona żadnym obowiązującym aktem prawnym, bo nie została notyfikowana przez UE.

Mówiąc wprost: ceny się ustala tak, żeby dostawać finansowanie. Trzeba zatem ustalić je dość nisko, nie oglądając się na fakt, że wykańcza to rentowne i nowoczesne kopalnie, które nie są w stanie rywalizować z takim dumpingiem. Muszą sprzedawać poniżej kosztów, mimo że wyższa, rentowna cena nie zwiększyłaby kosztów energii, jedynie zmniejszyłaby nieco marżę koncernów energetycznych i zmniejszyła kwoty finansowania górnictwa. Być może właśnie dlatego zbyt wielu jest zainteresowanych utrzymaniem status quo. Każde rozwiązanie narusza szemrany interes na dopłatach do górnictwa, dlatego decydenci próbowali uniknąć podjęcia sprawy Bogdanki, dopóki nie zostali do tego zmuszeni przez protest społeczny.

Niektórzy nie przyjmują tego najlepiej; jak wiceminister Wrona, który ogłosił – zgodnie z obowiązującym trendem – że protest w Bogdance jest „pisany cyrylicą”. Na szczęście to tylko pogrążyło Wronę.

Jak sobie Balczun poradzi z takimi przeszkodami, to Gierka przebije, bo Gierkowi tylko Kreml mógł coś przyblokować, a Balczunowi mogą też zwykłe cwaniaki na stołkach prezesów.

JAROSŁAW NIEMIEC
Autor jest przewodniczącym ZZ „Przeróbka” w LW Bogdanka SA

SŁOWO CZERWONE

Bez buntu nie ma kołaczy

Czego zazdroszczę Francuzom

W Polsce francuskie demonstracje media przedstawiają jako dopust boży, dewastacje i plądrowanie sklepów. Inaczej to widzą Francuzi. Z badań opinii publicznej wynika, że 80 proc. społeczeństwa francuskiego popiera te demonstracje uliczne, uznając je za usprawiedliwione. To, co robi na mnie największe wrażenie, to twarze demonstrantów, głównie młodych. Są roześmiane. Tańcząc i śpiewając, walczą o poprawę bytu, podniesienie płacy minimalnej, wzrost pomocy społecznej i inne prorównościowe reformy.

W naszych mediach pojawia się więcej scen drastycznych. Wybijania szyb, plądrowania sklepów. Chodzi o to, żebyśmy w żadnym razie nie poszli śladem reszty Europy, która rozpoczęła walkę o sprawiedliwość społeczną.

W Polsce bieda bezwzględna dotyka ok. 2 mln osób. To są osoby, które często nie dojadają. Wydają mniej, niż wynosi minimum biologicznego przetrwania. Jest też 15 mln osób poniżej minimum socjalnego – mają na życie od 1500 do 1900 zł, w zależności od liczebności rodziny. Ci ledwo utrzymują się na powierzchni. Muszą się obyć bez urlopów, rzadko korzystają z dóbr kultury, wybierają najgorsze produkty żywnościowe. Ich status wiąże się z ciągłym upokorzeniem. Bo dochód narodowy rośnie, a oni stoją w miejscu albo nawet się cofają. Ich cechą charakterystyczną jest brak oszczędności.

Objęci ubóstwem względnym żyją na styk. Wystarczy utrata pracy, choroba głównego żywiciela rodziny, aby zaczęli popadać w rosnące lawinowo zadłużenie.

Z badań opinii społecznej wynika, że 20 do 25 proc. Polaków uważa, że biedni są sami sobie winni, najczęściej przypisując ubóstwo lenistwu, brakowi zaradności lub złym wyborom życiowym. To zapewne osoby, którym się dobrze powodzi. Z badań nad nierównościami społu Thomasa Piketty'ego wynika, że 20 proc. ludności przejęło 60 proc. narodowego bogactwa. Żeby trwać w dobrym samopoczuciu, chcą oni wierzyć, że każdy ma to, na co zasłużył. Oni zasłużyli na kilka mieszkań, a bezdomni za mało się starali.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Jednocześnie to właśnie te 20–25 proc. społeczeństwa ma możliwość nadawania tonu debacie publicznej. Najsmutniejsze jest to, że umysły biedaków są skolonizowane przez wyższą klasę średnią. Opinia biednych o biedakach jest o wiele gorsza niż opinia lepiej sytuowanych grup społecznych. Grupy dyskryminowane i pokrzywdzone źle myślą o członkach swojej klasy – gorzej niż reszta społeczeństwa. Podobne zjawisko zaobserwowano w USA, gdzie mieszkańcy biednych skupisk czarnoskórej ludności gorzej myślą o swoich społecznościach niż pozostali Amerykanie. A jeżeli godzisz się z opinią, że masz to, na co sam zasłużyłeś – to raczej się nie zbuntujesz.

To dlatego ci, którzy największe mają powody do buntu, są najdalsi od zbuntowania się.

Jest jednak jeszcze jeden zasadniczy powód, dla którego polska młodzież dotknięta 10-procentowym bezrobociem, rosnącymi kosztami życia i studiowania – siedzi cicho. Nasi młodzi akceptują kapitalizm i ani im w głowie poprzeć prawdziwą lewicę. Inaczej niż na Zachodzie, gdzie kwestionowanie systemu jest częścią zbiorowej tożsamości młodzieży uczącej się: licealistów i studentów. W Polsce, jeżeli młodemu człowiekowi nie idzie w życiu, to nie oskarży o przyczyny systemu, tylko siebie samego. Dlatego tak łatwo ulega wyzyskowi.

Jest jednak korzystna ewolucja. Minęły już czasy, kiedy pracownicy Mordoru z dumą nosili na szyli korporacyjne smycze. Teraz to już obciach. Coraz częściej młodzi odmawiają nadgodzin, zrywając ten sposób z kultem zapierdolu.

Biedacy w Polsce cierpią z powodu braku dostępu do leczenia czy pomocy społecznej. W ostatnim czasie mieliśmy do czynienia z dużym wzrostem cen energii, żywności, a pomoc społeczna weryfikuje kryterium dochodowe uprawniające do sięgania po zasiłki co trzy lata. Żądanie resortu pracy, aby weryfikować to kryterium co rok, sejm odrzucił. Żeby pójść po zasiłek, trzeba mieć mniej niż 823 zł. A to już ubóstwo skrajne.

A prawica niestety dość skutecznie szerzy pogląd, że bieda się bierze z podatków. A przecież tylko państwo za podatki, które pobiera, może zasypać rosnącą przepaść między 15 mln biedaków a tymi, których bogactwo rośnie niepomiernie.

O biedzie mówi się też często w kontekście lenistwa. To absurd mający wywyższyć tych, którzy więcej zarabiają, i poniżyć tych na płacy minimalnej. Tymczasem Polacy są najbardziej zapracowanym narodem w Unii Europejskiej. Pracujemy ponad 2000 godzin rocznie, a im kto ma niższą stawkę godzinową, tym więcej godzin dodatkowo przepracowuje.

I dopóki będziemy wciąż wierzyli, że ci, którzy więcej zarabiają, są więcej warci, pożyteczniejsi, tak długo się nie zbuntujemy. A bez buntu nie ma postępu.

We Francji pod naciskiem demonstrującego tłumu premier spotka się delegacją protestujących. W Polsce minister finansów zostanie wicepremierem, żeby zacząć radykalnie ciąć wydatki socjalne celem zrównoważenia budżetu. To draństwo będzie trwało tak długo, jak długo wielkie marsze służyć będą celom narodowym, a nie społecznym.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 10853f64ab

Strzelaj albo protestuj

OKO.press na tropie agentów Putina

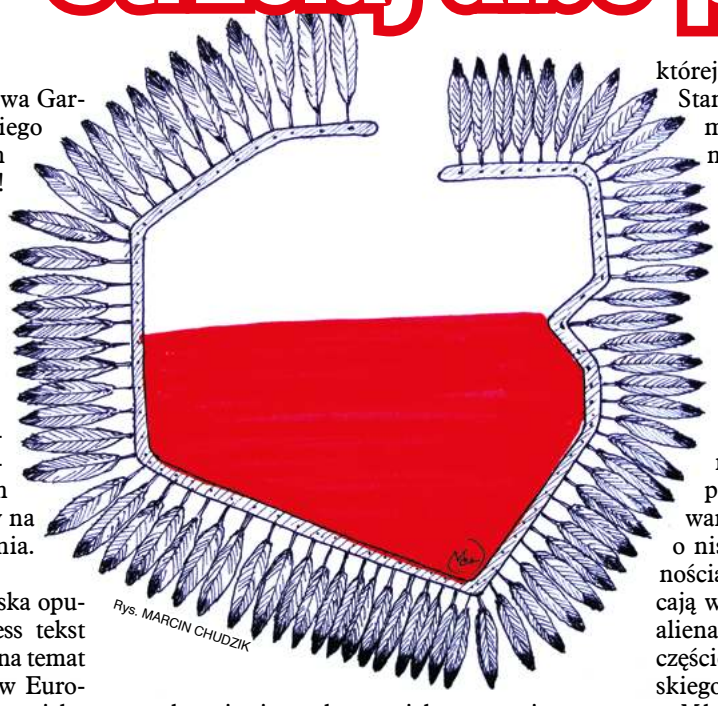
Rys. MARCIN CHUDZIK

20 listopada przed siedzibą Dowództwa Garnizonu Warszawa na Placu Piłsudskiego zebrała się niewielka grupa młodych ludzi. Demonstrację „Nie dla poboru! Szpitale zamiast bomb" zorganizowało Warszawskie Koło Młodych Inicjatywy Pracowniczej wspólnie z koalicją Młodzi Przeciw Wojnie; jako współorganizatorzy występowały także Stop Wojnie i Pracownicza Demokracja. Wśród współpracujących środowisk były młodzieżówka Polskiej Partii Socjalistycznej i Czerwony Front. Protestujący sprzeciwiali się poborowi i militaryzacji, domagali się uczelni wolnych od rekrutacji wojskowej oraz pieniędzy na szpitale i mieszkania zamiast na zbrojenia.

Dwa dni wcześniej Anna Mierzyńska opublikowała w zawsze czujnym OKO.press tekst zatytułowany „Oskarżają NATO, milczą na temat Rosji. Kto stoi za protestami młodych w Europie?". Już we wstępie protest przedstawiono jako wydarzenie, które obwinia o eskalację wyłącznie NATO i powiela przekaz Kremla. Autorka trafnie przewidywała, że polska manifestacja raczej nie będzie masowa – co ją pewnie cieszy, a mnie raczej martwi. W każdym razie jeszcze przed protestem uwagę skierowano z postulatów młodych na podejrzenie, kto za nimi stoi.

Studenci wyszli protestować z przekonaniem, że o bezpieczeństwie i zbrojeniach można w Polsce otwarcie dyskutować. Zaznaczali, że sprzeciw wobec militaryzacji nie oznacza poparcia dla Putina. Zamiast rozmowy o ich postulatach dostali podejrzenie, że powtarzają narrację Kremla. Przekonali się, że wolno kwestionować militaryzację – dopóki nie robi się tego na serio. Piękna nauka.

Gabriela Wilczyńska w tekście „Uniwersytet w polu rażenia – totalna militaryzacja", opublikowanym 15 listopada na stronie młodzieżowych struktur OZZ Inicjatywa Pracownicza, opisuje wojskową obecność na Uniwersytecie Warszawskim. W marcu uczelnia podpisała porozumienie z 18. Stołeczną Brygadą Obrony Terytorialnej, obejmujące wspólne projekty, szkolenia, warsztaty i wykłady. Jesienią na Kampusie Głównym stanęło stoisko WOT. Jak relacjonuje Wilczyńska, żołnierze mówili, że ma to służyć „ocieplaniu wizerunku", a o formacji opowiadali, podkreślając jej pomoc podczas powodzi, działania w sytuacjach kryzysowych, naukę pierwszej pomocy… W ten sposób WOT przedstawia się studentom jako zwyczajny partner w sprawach bezpieczeństwa, a prestiż UW pomaga oswoić jego obecność na uczelni.

Studencka Inicjatywa Mieszkaniowa skwitowała obecność WOT na kampusie ironicznym pytaniem, które trafia w problem studentów z mniej zamożnych rodzin: „Dodatkowe środki na wsparcie socjalne? Po co to komu, skoro można zaprosić na Kampus Główny WOT". Według relacji autorów żołnierze oferowali służbę osobom rozpoczynającym studia. Stypendium socjalne na UW w roku akademickim 2026/2027 wynosi od 900 do 1828 zł miesięcznie, a przysługuje przy dochodzie na osobę w rodzinie nieprzekraczającym 2099,70 zł. Wilczyńska zwraca uwagę, że wojsko oferuje wynagrodzenie za szkolenie. Przy ograniczonym wsparciu socjalnym taka oferta może ważyć w decyzji o służbie młodych ludzi, którzy potrzebują pieniędzy na utrzymanie.

OKO – piórem red. Mierzyńskiej – poucza młodych: „Militaryzacja państw europejskich jest odpowiedzią na działania Moskwy, a nie wymysłem zachodnich polityków". Jako zwolennik Ukrainy i równoważenia rosyjskiej potęgi odpowiadam: to zdanie jest prawdziwe, ale tylko częściowo. Rosyjska agresja uzasadnia wzmacnianie obrony. Nie rozstrzyga jednak, jak mamy się bronić, jakich zbrojeń potrzebujemy ani kto ma ponosić ich koszty. Nie odpowiada też na pytanie, czy młodzi mają być pierwszą grupą, od której państwo zażąda gotowości do poświęcenia. Standard życia młodym odjechał: własne mieszkanie, stabilna praca i możliwość planowania przyszłości coraz częściej pozostają poza zasięgiem. Ponad połowa osób w wieku 25–34 lata mieszka z rodzicami. Wśród pracujących poniżej trzydziestki 35 proc. nie posiada stałej umowy; wśród wszystkich pracujących jest to 16 proc.

Niepewność materialna wiąże się także z szansami na związek. Wśród mężczyzn w wieku 25–39 lat w związku pozostaje 34 proc. niepracujących, 53 proc. zarabiających poniżej 4 tys. zł netto i 86 proc. zarabiających co najmniej 10 tys. zł. Na tych problemach żerują internetowi guru i stowarzyszenia praw samców. Zamiast mówić o niskich dochodach, braku mieszkań i trudnościach w budowaniu bliskich relacji, podsycają wojnę płci i wskazują winnych. Pogłębiają alienację młodych mężczyzn, którzy już teraz częściej doświadczają samotności i braku bliskiego wsparcia.

Młodzi mierzą się też z kryzysem psychicznym. W badaniu CBOS z 2025 r. uczniowie ostatnich klas szkół ponadpodstawowych często lub bardzo często deklarowali rozdrażnienie (76 proc.), znużenie i zniechęcenie (69 proc.), poczucie nieszczęścia (59 proc.) oraz bezradność (54 proc.). Od 2020 r. liczba dzieci i młodzieży korzystających z publicznej opieki psychiatrycznej wzrosła ponad dwuipółkrotnie. Pół miliona osób w wieku 7–17 lat spełnia kryteria rozpoznania zaburzeń psychicznych, a system pomocy nie nadąża za potrzebami. To w takich warunkach młodzi słyszą o konieczności gotowości do służby wojskowej, choć państwo nie zapewniło im podstaw: mieszkania, stabilności i dostępnej pomocy.

Mierzyńska ma prawo opisywać protesty z polskiej perspektywy i przez pryzmat rosyjskiego zagrożenia. W jej tekście ta perspektywa staje się jednak miarą dla młodych z całej Europy: ich sprzeciw wobec militaryzacji ocenia się przez to, czy dostatecznie mocno mówią o Rosji. To polsplaining – wtłaczanie całego świata w polską perspektywę; oczekiwanie, żeby młodzi Portugalczycy odłożyli własne problemy, bo najważniejszy jest Putin. Tymczasem młodzi próbują budować europejską solidarność społeczną: łączyć sprzeciw wobec militaryzacji z walką o mieszkania, godną pracę, ochronę zdrowia i wsparcie socjalne. Sprowadzanie ich protestów do podejrzeń o powielanie kremlowskich narracji zagłusza ten wspólny język.

Nie ma powodu udawać, że Rosja nie instrumentalizuje pacyfistycznych haseł, by osłabiać poparcie dla Ukrainy i podważać solidarność państw, które jej pomagają. Ale

z tego, że Kreml cynicznie wykorzystuje sprzeciw wobec wojny, nie wynika, że każdy protest przeciw poborowi i militaryzacji służy Moskwie. Można popierać Ukrainę i wzmacnianie jej obrony, a zarazem sprzeciwiać się temu, by bezpieczeństwo sprowadzać tylko do zbrojeń, przymusu

i przerzucania kosztów na młodych. Można, lecz nie w OKO.press. Tam świat jest prostszy.

Mierzyńska wylicza zagraniczne organizacje związane z protestem, a potem zestawia ich sprzeciw wobec NATO z przekazami wykorzystywanymi przez Rosję i skrajną prawicę. To nie dowodzi wspólnego zaplecza ani współpracy – wspólne hasło nie czyni z różnych środowisk jednego obozu. Z luźnych skojarzeń powstaje podejrzana sieć, w której każdy trop ma potwierdzać następny. Ten sposób rozumowania przypomina mi teksty Tomasza Piątka: wielką paranoiczną konstrukcję, w której zbieżność wystarcza za dowód. Z tego się dobrze żyje.

Choć warszawska demonstracja była wcześniej zaplanowaną częścią europejskiej mobilizacji przeciw poborowi i militaryzacji, jej termin stał się dla wicenaczelnego OKO.press Bartosza Kocejki-Szukalskiego pretekstem do drwiny. Na Facebooku nazwał tekst Anny Mierzyńskiej „dobrym i potrzebnym", zapewnił ją o pełnym wsparciu redakcji i pisał o atakach na autorkę, jakby bronił bohaterki po odważnym czynie. Potem skwitował protest uwagą, że rosyjskie pociski i dron „efektownie rozświetliły" demonstrację. Zamiast odnieść się do postulatów demonstrantów, zrobił z rosyjskiego ataku szyderczą puentę na ich koszt. Czyli przekierował rosyjskie drony tak, aby trafiły w młodych protestujących. Młodych straszy się już, że w razie wojny granice zostaną zamknięte, żeby „zasób ludzki" nie uciekł. Jeśli zabrania im się protestować w sprawie własnego życia, będą wybierać indywidualne strategie przetrwania. Na ich miejscu kupiłbym pistolet na wodę, gdyby żandarm Kocejko przyszedł zaciągać do okopu. Na Mierzyńską wystarczyłby osinowy kołek.

DAMIAN DUSZCZENKO

Nieprzyzwoite słowo „pokój"

Między Millerem i Applebaum

TVN24 postanowił zapolować na Leszka Millera. Pierwsza polska telewizja informacyjna już dawno doszła do wniosku, że twoim prawem nie jest wiedzieć, co były premier ma do powiedzenia na temat Ukrainy – zniknął ze studia po tym, jak w październiku 2025 r. zadrwił sobie z Piotra Kraśki („Może ma pan w kieszeni katalog zdań i słów, które mogę powiedzieć"). Tym razem jednak TVN24 uznał, że nasze prawo obejmuje dowiedzenie się, że Miller, krytykując uległy kurs polskich władz wobec Ukrainy, spłaca moskiewską pożyczkę.

Reportaż (powiedzmy) autorstwa Artura Zakrzewskiego zaczął się od „dni chwały" Millera z czasów wstępowania do UE, co miało pokazać głębię jego dzisiejszego upadku. To dość zabawne, jeśli przypomnimy sobie – a ja akurat jestem tak stara, że pamiętam – co nowo narodzona telewizja TVN24 mówiła o Leszku Millerze i jego rządzie, także wtedy, kiedy prowadził, naprawdę twardo i skutecznie, negocjacje w sprawie wejścia do UE. Potem red. Zakrzewski upolował dwójkę dawnych partyjnych towarzyszy, Danutę Waniek i Janusza Zemke, którzy z impetem odcinali się od Leszkowej postawy, choć nie posunęli się do powiedzenia, że jest ruskim agentem. To zadanie zostało autorowi reportażu, który pod koniec dwukrotnie przypomniał bańkę papieru, jaką Miller z Rakowskim pożyczyli w okresie przełomu ustrojowego od KPZR w dość rozpaczliwej nadziei, że pozwoli to utrzymać się na powierzchni rozwiązanej partii albo choć jej ludziom. Pożyczka została zwrócona w ciągu kilkunastu miesięcy i pomysł, że 36 lat później Miller w jakiś sposób nadal czuje się nią zobowiązany, jest oczywiście absurdalny. Dał jednak red. Zakrzewskiemu pretekst, żeby przypomnieć tę kompletnie dętą aferę – co pozwoliło mu zwieńczyć swój materiał zdaniem, które, jestem pewna, uznał za błyskotliwe: „Polityk, który pragnie zainteresowania, nie potrafi zejść ze sceny – to nie byłaby najgorsza odpowiedź na pytanie, co się stało z Leszkiem Millerem".

Tak dla porządku: niewątpliwie Leszek, jak każdy polityk z pierwszych stron gazet, pielęgnuje w sobie zdrową dawkę narcyzmu. Bez tego nie zostaje się liderem partii i szefem rządu. Ale może zamiast zajmować się osobowością Millera, warto byłoby zastanowić się nad tym, co mówi.

Nie ze wszystkim się zgadzam. Uważam – i mówiłam o tym w wywiadzie z Millerem („NIE", nr 5/2026) – że jego erystyczne szarże wołyńskie, opowieści o dzieciach nabijanych na widły, służą budowaniu emocji, a nie wyjaśnianiu historii. I trudno mi też mieć wątpliwości, że Leszek Miller darzy Ukrainę negatywnymi emocjami, których ja nie odczuwam (zachowuję je dla USA). Ale pytania, które zadaje – dotyczące udziału kolektywnego Zachodu w doprowadzeniu do konfliktu na Ukrainie; sensu kontynuowania tej wojny bez baczenia na koszty, przede wszystkim wśród Ukraińców; ceny, którą warto zapłacić za pokój – są absolutnie zasadne. Jednym z gwoździ do trumny Millera w materiale Zakrzewskiego miał być fragment jego rozmowy z Bogdanem Rymanowskim, gdzie na pytanie „Czy Ukraina powinna zgodzić się na oddanie Krymu za cenę pokoju – tak czy nie" Leszek odpowiedział: „tak".

Pytanie: czy ktokolwiek żyjący na planecie Ziemia w roku 2026, a nie w Nibylandii, wierzy, że w dającej się przewidzieć przyszłości Ukraina odzyska Krym? Albo całość Donbasu? Tematem do dyskusji jest dokładny przebieg granic, gwarancje dla Ukrainy w zamian za ich zaakceptowanie – ale to dyskusja, którą trzeba podjąć, bo ludzie giną od pięciu lat i szczerze nie rozumiem, jak to się stało, że w polskich elitach zrodził się konsensus, iż mówienie o pokoju jest niemoralne.

Może to dobry moment, żeby zapytać: jaka jest alternatywa?



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Z dziecięcą szczerością opowiedziała o niej Anne Applebaum w rozmowie z konserwatywnym portalem „The Bulwark". „Politycy europejscy zaczynają rozmawiać" o wojnie z Rosją – ujawniła – „głównie prywatnie", ponieważ „to jest coś, na co europejska opinia publiczna nie jest gotowa, nawet jeśli są politycy, którzy zaczęli o tym mówić. Z powodu ekstremalnej niepopularności idei pójścia na wojnę, jeszcze nikt tego publicznie nie wyraził".

Nie wiem, jak Państwo, ale ja się nieco zlękłam. Anna Applebaum może sobie być laureatką Pulitzera i gwiazdą amerykańskich mediów, ale to nie gwarantuje jej dostępu do prywatnych rozmów czołowych europejskich polityków. Bycie żoną polskiego ministra spraw zagranicznych – owszem. Co może wskazywać, że w tej gasnącej eurokratycznej elicie rzeczywiście pojawia się myślenie, które Applebaum ujęła następująco: „I niestety to jest jedna z tych sytuacji, kiedy musiałoby nastąpić wydarzenie, które przekonałoby ludzi, że to jest naprawdę niezbędne. Nie mieliśmy jeszcze takiego wydarzenia i moja teoria jest taka, że Rosjanie celowo utrzymują swoje ataki poniżej tego poziomu: nie było wydarzenia z masowymi ofiarami w ludziach"…

Tak dla porządku: nie było wydarzenia nie z „masowymi", tylko z żadnymi ofiarami w ludziach – jedyne ofiary po stronie UE to dwaj Polacy zabici przez ukraińską rakietę w Przewodowie cztery lata temu. W tym zakresie przenikliwa „teoria" p. Applebaum jest trafna. Choć użycie przez nią słowa „niestety" jest dość przerażające.

Ale ważniejsze jest co innego. Otóż histeria, jaką władze różnych krajów europejskich nakręcają po każdej rosyjskiej rakiecie, która wywali dziurę w szczerym polu, jest w interesie Rosji.

Zbrojeniowy szał NATO byłby niekorzystny dla Rosji tylko wtedy, gdyby Rosja planowała wojnę z NATO. W przeciwnym razie – a moim zdaniem mamy do czynienia właśnie z przeciwnym razem – jest to efekt „gwiezdnych wojen" Ronalda Reagana à rebours:

wyścig zbrojeń, w który daliśmy się wmanewrować, podkopuje fundamenty europejskiego państwa dobrobytu, wywołuje niezadowolenie społeczne, prowadzi do przesilenia politycznego w różnych krajach, w których tzw. „siły proeuropejskie" słabną na rzecz prawicowych populizmów. Stan społecznego napięcia i niepewności, utrata komfortu i wkurwienie Europejczyków cieszą Rosję, która chce widzieć Europę rozedrganą i słabą.

I kto tu jest pożytecznym idiotą Putina?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 10853f64ab



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Idzie wojna, albo i nie

Militaryzacja po polsku

Militaryzacja to nie tylko zbrojenia. Chciałbym od tego zacząć, ponieważ właśnie niezrozumienie tej elementarnej kwestii jest przyczyną idiotycznych reakcji na międzynarodowe protesty młodzieży, które 20 listopada 2026 r. odbyły się w wielu krajach Europy – również w Polsce. Dyskredytowany jest każdy głos, który próbuje rozpocząć dyskusję o procesach przestawiania całego życia społecznego na tory wojenne. I w tym przestawianiu nie chodzi o to, że wojna wybuchła i trzeba się bronić. Putin napadnie na Polskę, albo i nie, w 2035 r., albo wcale, ale już teraz, natychmiast mamy podporządkować przygotowaniom wojennym gospodarkę, edukację, politykę społeczną i życie codzienne. Kto ośmiela się pytać o sens tego procesu, natychmiast zostaje podejrzany o służenie Kremlowi. Taka logika.

Tymczasem uczestnicy International Youth Strike sformułowali pięć zasadniczych postulatów, które pokazują, że sprzeciw wobec militaryzacji to coś daleko więcej niż opór wobec zbrojeń.

Owszem, po pierwsze, domagali się zakończenia wyścigu zbrojeń i polityki oszczędnościowej prowadzonej w imię niekończących się przygotowań wojennych. Ale chodzi im o to, żeby zamiast kolejnych miliardów przeznaczanych na uzbrojenie zwiększyć finansowanie edukacji, ochrony zdrowia, mieszkalnictwa i zabezpieczenia społecznego, zwłaszcza dla najuboższych. Po drugie, sprzeciwiali się wszelkim formom obowiązkowej służby wojskowej oraz militaryzacji szkół i uniwersytetów. Edukacja powinna rozwijać krytyczne myślenie, przywiązanie do demokracji i poszanowanie praw człowieka, a nie służyć wojskowej rekrutacji, promowaniu militarnego ideału męskości i produkowaniu kolejnych pokoleń „mięsa armatniego”. Po trzecie, wzywali do międzynarodowej solidarności z ludami uciskanymi, sprzeciwiając się (każdemu) imperializmowi, kolonializmowi, okupacji, apartheidowi i ludobójstwu – szczególnie temu, które trwa w Strefie Gazy. Po czwarte, protestujący domagali się sprawiedliwości klimatycznej i społecznej, wskazując, że militaryzacja pochłania zasoby niezbędne do przeciwdziałania katastrofie klimatycznej i pogłębiającym się nierównościom. Po piąte wreszcie, występowali w obronie demokracji i praw człowieka, przeciwko autorytaryzmowi, represjom, rasizmowi, patriarchatowi i skrajnej prawicy. Był to zatem również protest antyfaszystowski. Gdzie w tym „ruska propaganda”?

Militaryzacja jako proces społeczny

Militaryzacja to szaleńczy proces podporządkowywania wszelkich funkcji społeczeństwa celom wojennym, a jego skutkiem jest nie tylko oszczędzanie na podstawowych funkcjach opiekuńczych państwa – w tym na jakości usług publicznych i walce z nierównościami społecznymi – ale także ograniczanie demokracji i podważanie uniwersalności praw człowieka.

W socjologii refleksja nad militaryzacją społeczeństwa pojawiła się już w 1882 r., kiedy Herbert Spencer przedstawił swój model społeczeństwa militarnego obejmujący centralizację władzy politycznej, podporządkowanie jednostki interesom państwa, rozbudowaną hierarchię społeczną, dyscyplinę i posłuszeństwo wobec autorytetów, ograniczanie indywidualnych wolności oraz podporządkowanie gospodarki potrzebom militarnym. Społeczeństwo militarne opiera się zatem na przymusie, kontroli i przekonaniu, że interes państwa ma pierwszeństwo przed prawami jednostki – i to jest dokładnie to, przeciw czemu protestował Międzynarodowy Strajk Młodych, ponieważ w takim społeczeństwie nie ma miejsca ani na demokrację, ani na prawa człowieka.

Współczesna badaczka Cynthia Enloe zwraca natomiast uwagę, że militaryzacja jest procesem, w którym wartości, praktyki i sposoby myślenia właściwe wojsku stopniowo przenikają do wszystkich obszarów życia społecznego. Nie chodzi zatem wyłącznie o wzrost wydatków na zbrojenia czy liczebności armii, lecz o podporządkowywanie logice militarnej polityki, gospodarki, edukacji, kultury, a nawet naszego życia codziennego. Chodzi o szaleństwo ogarniające całe społeczeństwo i może jest to zrozumiałe, jeśli chodzi o ludzi żyjących w państwie napadniętym przez kogoś – na przykład w Wenezueli, na Ukrainie czy w Państwie Palestyńskim. Ale kiedy wojny nie ma, kiedy wojna ma być (albo i nie) kiedyś – zjawisko to przypomina ostry napad psychozy. Społeczeństwo militarne ma urojenia i halucynacje, które poważnie dezorganizują jego myślenie i sprawiają, że postępuje absurdalnie. Oto objawy psychozy militarnej w polskim wydaniu.

Gospodarka i finanse publiczne

Militaryzacja gospodarki to oczywiście uzależnianie jej rozwoju od produkcji zbrojeniowej i coraz większych wydatków wojskowych. W polskim przypadku, wbrew kłamstwom Tuska, to przede wszystkim gigantyczne zakupy zagranicznego uzbrojenia, zwłaszcza amerykańskiego. Wydajemy miliardy na sprzęt, ale to początek kosztów: trzeba go przecież utrzymywać, serwisować, wyposażać w amunicję, integrować z innymi systemami i szkolić ludzi, którzy potrafią wykorzystać jego możliwości. To zatem nie tylko bieżący koszt – to także generowanie absurdalnych kosztów w przyszłości. W dodatku większość tych zakupów finansujemy na kredyt: sam program SAFE będziemy spłacać nawet przez 45 lat. Czy naprawdę potrzebujemy kolejnych setek hiperdrogich czołgów, które bez odpowiedniej osłony mogą stać się kosztownymi celami dla znacznie tańszych dronów? Czy może chodzi przede wszystkim o to, żeby amerykański przemysł zbrojeniowy miał zapewnione zamówienia, a polski podatnik — rachunek do zapłacenia?

Militaryzacja rujnuje finanse publiczne: coraz trudniej znaleźć pieniądze na podstawowe usługi publiczne czy walkę z ubóstwem, bo przecież wojna! Tymczasem w szpitalu powiatowym w Krasnymstawie dyrektor zwrócił się do okolicznych gmin z prośbą o zorganizowanie zbiórki żywności dla pacjentów. W warszawskim Instytucie Psychiatrii i Neurologii na oddziałach brakowało papieru toaletowego. Szpitale przesuwają planowe operacje na 2027, a nawet 2028 r. Jak nie dożyjesz operacji – tym lepiej. Kupi się za to kolejne bomby.

Edukacja? Zapewnienia wszystkim bezpłatnych elektronicznych podręczników oraz materiałów także w szkole średniej – nie ma, bo wojna. Podniesienie żałosnych pensji nauczycielek i nauczycieli, by zatrzymać odpływ z zawodu – nie ma, bo wojna. Doczołganie się do średniej unijnej w wydatkach na naukę, co warunkuje rozwój gospodarczy i cywilizacyjny – nie ma, bo wojna. Wojny wprawdzie nie ma, ale pieniędzy też nie ma. Jest za to jest wojenna propaganda, której celem jest wzbudzanie społecznej paniki. W efekcie ludzie nie mają gdzie mieszkać, za co płacić rachunków i gdzie się leczyć, ale nie protestują. Bo wojna! 15 mln osób w Polsce żyje poniżej minimum socjalnego, w tym około 2 mln poniżej minimum egzystencji. I wszyscy oni cierpliwie znoszą swoją biedę, bo wojna! Psychoza jest w tym przypadku zaraźliwa. A na całym tym zamieszaniu kosmiczne pieniądze zarabiają koncerny zbrojeniowe, bo interes musi się kręcić, a jeśli nie wiadomo, o co (w kapitalizmie) chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze.

Jasne, za granicą Polski trwa wojna, trzeba być ostrożnym i przewidywać. Ale

pomiędzy rozsądnym planowaniem a totalnym psychotycznym odpałem jest naprawdę ogromna różnica. Potrzebna jest otwarta debata, a nie „patriotyczne” okrzyki połączone z wyzywaniem od „stronników Putina” wszystkich, którzy domagają się demokratycznej kontroli nad wydatkami zbrojeniowymi.

Państwo i demokracja

Bo wbrew militarnej psychozie podstawową cechą charakterystyczną zdrowej demokracji jest spór, gdzie ścierają się różne stanowiska i poglądy, każdy ma prawo zabrać głos, a państwo musi dbać o rzeczywistą możliwość uczestnictwa w debacie. Ale przecież w wojsku jest inaczej: tam działa logika „wyższej konieczności” (wojna!) i rozkazu. W wojsku, jak wiadomo, nie organizuje się referendum w sprawie wykonania polecenia dowódcy. Problem z militaryzacją zaczyna się wtedy, gdy politycy dochodzą do wniosku, że równie sprawnie powinno funkcjonować całe społeczeństwo. Decyzje dotyczące bezpieczeństwa narodowego stają się sprawą zbyt poważną, żeby pozostawić je „przypadkowym” obywatelom, a demokratyczna kontrola zaczyna przeszkadzać w sprawnym zarządzaniu państwem. Obywatel ma płacić, słuchać i nie zadawać głupich pytań. Najlepiej w tej kolejności.

Militaryzacja sprzyja również ograniczaniu praw człowieka. W imię bezpieczeństwa narodowego można przecież usprawiedliwić nadzwyczajne uprawnienia służb, ograniczanie swobody przemieszczania się, utrudnianie pracy dziennikarzom i organizacjom humanitarnym, a nawet pozbawianie ludzi możliwości ubiegania się o ochronę międzynarodową. Oczywiście wszystko po to, żeby bronić demokracji i praw człowieka. Zwłaszcza przed ludźmi, którzy próbują z tych praw skorzystać.

Znakomitym przykładem jest granica polsko-białoruska. Migranci, którzy uciekając przed wojną i biedą, próbują ubiegać się w Polsce o azyl, są traktowani jak uzbrojeni po zęby żołnierze wrogiej armii. To są te halucynacje właśnie. Ludzie są bici, deptani, wypuszcza się na nich psy, a następnie przepycha przez bramkę dla zwierząt na stronę białoruską. Wszystko w imię obrony kraju, oczywiście! Od początku kryzysu humanitarnego na tej granicy można było spokojnie przyjąć od ludzi wnioski, rozpatrzyć je i podjąć decyzję. Wbrew kłamstwom Kaczyńskiego i Tuska tam nigdy nie było żadnych „dzikich hord”, które by w jakikolwiek istotny sposób zagrażały bezpieczeństwu Polski. Jedyne dzikie hordy, jakie nam zagrażają, to nowi faszyści, którzy zdominowali polską scenę polityczną, i kryjący się za ich plecami elity światowej oligarchii finansowej. Tymczasem życie i zdrowie ludzi uciekających przed wojną i biedą zostało poświęcone chorym fantazjom psychotyków o „zagrożeniu”, które nigdy nie istniało!

Państwo, które deklaruje, że przygotowuje się do obrony swoich obywateli, traktuje ludzi poszukujących ochrony jak wrogów. Dziś ludzi na granicy polsko-białoruskiej, jutro uchodźców z Ukrainy, a pojutrze, jak ten cholerny Putin nadal nie zaatakuje Polski, to trzeba będzie materializować zagrożenie, wskazując kolejne kategorie. Osoby queerowe na przykład świetnie się do tego nadają, raczej nie powielając patriotyczno-katolickiego wzorca rodziny: ojca alkoholika i przemocowca, bitej i współuzależnionej kobiety i zaniedbanych dzieci.

„Wychowanie patriotyczne”

Militaryzacja obejmuje także młodych ludzi, uczących się i studiujących. Wojna za progiem, więc trzeba wprowadzić obowiązkową służbę wojskową, szkolenia wojskowe, paramilitarne oddziały „ochotników”, którzy po szesnastodniowym (!!!) szkoleniu stają się pełnoprawnymi „żołnierzami”, bo tak sobie wymyślił genialny strateg wojskowości, Antoni M. Do tego lekcje „edukacji dla bezpieczeństwa” (w PRL to się nazywało uczciwiej: przysposobienie wojskowe), klasy „obronne”, wychowanie patriotyczne, które zawsze oznacza przede wszystkim kult siły, dyscypliny, przemocy i czujności wobec knowań wroga – z braku wrogów zewnętrznych kierowanej przeciw tym wewnętrznym. Do tego wszechobecna ideologia militaryzacji: kult bohaterstwa wojennego, nawet tego, które polega na strzelaniu w plecy uciekającemu migrantowi, propagowanie militarnego wzorca męskości – gdy idzie wojna, trzeba zapomnieć o prawach kobiet, a już szczególnie o prawie do aborcji, ktoś przecież musi tego mięsa armatniego dostarczać.

Widzę wielki program wychowania patriotycznego, które rozpoczyna się już w dzieciństwie. Załóżmy, że dzieci w wieku od 8 lat mogą wstępować do specjalnej organizacji młodzieżowej, w której otrzymują mundury, uczestniczą w uroczystościach wojskowych, uczą się musztry, strzelania, podstaw taktyki i posługiwania się bronią, do tego poznają historię wojskowości i przygotowują do przyszłej służby w siłach zbrojnych. Albo na przykład jeszcze szerszy ruch dla dzieci, obejmujący wszystkich milusińskich, którzy rozumieją już proste bajeczki. Można dla nich organizować zajęcia służące krzewieniu patriotycznych postaw, przywiązania do tradycyjnych wartości oraz lojalności wobec państwa. Mogliby się spotykać z żołnierzami i weteranami, wyszywać makatki dla wojska, uczyć się pierwszej pomocy na polu walki. Można by było robić dla nich wielkie gry wojskowo-patriotyczne, podczas których ćwiczyliby działania taktyczne, obsługę dronów i posługiwanie się bronią. Taka rozrywka. Jeszcze lokalne kluby wojskowo-patriotyczne, działające przy szkołach: niech skupiają wyłącznie chłopców i młodych mężczyzn, których uczy się walki wręcz, strzelania, rozkładania i składania kałasznikowów, przetrwania w trudnych warunkach, dyscypliny i podporządkowania się grupie. Łączy się to z kultem „prawdziwej męskości”, utożsamianej z siłą fizyczną, odwagą, gotowością do przemocy i bezwarunkową lojalnością wobec ojczyzny. Połączyłbym to z agresywną homofobią i atakami na osoby LGBT.

Nie wymyśliłem tego modelu ideologicznej militaryzacji. Wszystko to działa w dzisiejszej putinowskiej Rosji. I to polscy „patrioci” ogarnięci szałem wojennym powielają „narracje Kremla”, a nie ci, którzy przeciwko temu szaleństwu protestują, usiłując delikatnie tłumaczyć wzmożonym „patriotom”, że się troszkę pogubili. I zauważcie też: ten absurdalny bełkot wzmacnia te siły polityczne, które w takim brunatnym bajorze czują się znakomicie. Jeśli się nie ogarniemy, to poparcie dla wszystkich ugrupowań nowego faszyzmu sięgnie nie 55 proc., a 75 – a wtedy konstytucyjnie uchwalone zostanie powstanie Katolickiego Państwa Narodu Polskiego, w którym poziom militaryzacji będzie odwrotnie proporcjonalny do poziomu przestrzegania zasad demokracji i praw człowieka. Póki co wszystko ku temu zmierza.

JACEK KOCHANOWSKI

eprasa.pl 10853f64ab

Po biednych do celu

Awans budżetowego żniwiarza



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Jest wybitnym ministrem, bo udaje mu się, balansując naprawdę na pewnych ryzykach, (…) utrzymywać w ramach bezpieczeństwa państwo polskie i stan finansów i równocześnie wydawać duże pieniądze tam, gdzie jest to potrzebne: dla ludzi, dla najbardziej potrzebujących i na bezpieczeństwo Polski” – orzekł premier Donald Tusk między debatą nad wotum nieufności wobec ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego a powołaniem go na stołek wicepremiera.

Andrzej Domański nadal pozostaje ministrem, ale jego pozycja w rządzie znacząco wzrosła. Ruch Tuska stał się sygnałem, że gospodarka ma być wizytówką rządu przed nadchodzącymi wyborami.

Świeżo upieczony wicepremier chyżo wyznaczył priorytetowe kierunki działania: transformację energetyczną, cyfrową (w tym rozwój AI), podkręcenie deregulacji, finansowanie obronności i stabilizację finansów publicznych. „Dziś Polska wydaje 200 mld zł rok w rok na bezpieczeństwo. Musi ono być naszym priorytetem, nie możemy na nim oszczędzać, jest to jednak potężna kwota, która również stoi za utrzymującym się deficytem. Będziemy podejmować kolejne działania na rzecz wzmocnienia finansów państwa” – zapowiedział.

Szybki rzut oka na politykę fiskalną rządu daje całkiem niezły obraz tego, kto złoży się na tę stabilizację. Premier naprawdę powinien popracować nad jakością serwowanej przez siebie propagandy…

Niepełnosprawność w cenie

Bardzo łatwo oszczędzić można np. na bezpłatnej cudzej pracy. 18 listopada sejmowa Komisja Finansów Publicznych odrzuciła dwie bardzo istotne dla gospodarstw domowych z osobą wymagającą wsparcia poprawki do budżetu na 2027 r.

Jeszcze zanim projekt budżetu na 2027 r. trafił do sejmu, resort finansów wpisał do niego wyraźne ograniczenia w finansowaniu wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami.

Dotacja budżetowa dla PFRON została ścięta o 75 proc. (prawie pół miliarda zł mniej niż w 2026 r.), na asystencję osobistą zaplanowano blisko 200 mln zł mniej (spadek o 15 proc.), a na opiekę wytchnieniową o 210 mln zł mniej, co odpowiada nakładom niższym aż o 70 proc.

Na wspomnianym posiedzeniu komisja rozpatrywała 48 poprawek do budżetu. Przyjęła tylko 14 – z czego aż 13 miało wcześniejszą pozytywną opinię rządu. Dwie poprawki, które zwiększały środki Funduszu Solidarnościowego i miały uratować byt osób z niepełnosprawnościami i ich rodzin, zostały odrzucone głosami większości koalicyjnej.

Zwiększenie dotacji dla Funduszu o 361,5 mln zaproponował poseł Polski 2050 Piotr Górnikiewicz. 250 baniek miało pochodzić z budżetu IPN, a reszta z budżetów Kancelarii Prezydenta, Kancelarii Sejmu, KRRiT i UODO. Za poprawką głosowało trzech posłów: Tomasz Trela z Lewicy, Adrian Zandberg z Razem i wspomniany Piotr Górnikiewicz.

Drugą poprawkę – jako zdanie odrębne do opinii Komisji Polityki Społecznej i Rodziny – zgłosił poseł Marcin Józefaciuk. Proponował przeniesienie 486,8 mln z rezerwy celowej na programy resortowe Funduszu Solidarnościowego. Poprawka również przepadła.

Za te oszczędności niepełnosprawni i ich rodziny zapłacą utratą pracy i zdrowia. Przy okazji państwu przepadną podatki i składki. Oszczędność w jednym funduszu może więc oznaczać większe wydatki w ZUS, NFZ i pomocy społecznej. Każdą godzinę opieki wytchnieniowej wykreśloną z budżetu ktoś będzie musiał odfajkować własnym sumptem. Jest jeszcze kwestia godności osób z niepełnosprawnościami i ich rodzin – ale o tym nie ma co politykom wspominać, bo sami jej nie mają, więc pewnie nie zrozumieją.

Dorzucą dzieci

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przygotowało długo wyczekiwaną reformę pieczy zastępczej.

System od lat jest dramatycznie niedofinansowany. Blisko 2 tys. dzieci czeka na umieszczenie w rodzinach zastępczych, ale tych zwyczajnie brakuje. Nie ma się czemu dziwić. Zawodowe rodziny zastępcze i prowadzący rodzinne domy dziecka dostają pensję, która często ledwo przekracza jałmużnę minimalnej krajowej. Świadczenia na utrzymanie dzieciaków nie pokrywają realnych wydatków. Milusińscy po przejściach w domach rodzinnych z reguły potrzebują terapii, dodatkowej opieki lekarskiej i rehabilitacji. Brak stabilnej umowy o pracę i wizja nędznej emerytury dla rodziców zastępczych też nie działają zachęcająco. Do tego dochodzi rozrośnięta papierologia, niewystarczająca liczba szkoleń i brak wsparcia psychologicznego dla samych opiekunów.

NIK i organizacje pozarządowe wielokrotnie wskazywały, że państwo niedostatecznie wspiera już działające rodziny, więc trudno o nowych chętnych.

Postanowień sądowych o zabezpieczeniu dzieci przed skutkami działań niewydolnych wychowawczo i społecznie rodziców przybywa, a system nie nadąża. Domy dziecka są kosztowne w utrzymaniu i przepełnione, a rodzinnych form opieki jest za mało. To miało się zmienić.

Ministerstwo Pracy chciało podnieść wynagrodzenia i świadczenia dla rodzin zastępczych, zwłaszcza zawodowych i specjalistycznych, zorganizować lepsze warunki pracy asystentom rodzin i koordynatorom (np. poprzez dodatek za pracę w terenie czy dodatkowy urlop) oraz zachęcić więcej osób i organizacji do włączenia się w opiekę nad odebranymi dziećmi. Ministerstwo Finansów pokazało środkowy palec.

Resort Dziemianowicz-Bąk chciał wprowadzić stały program dofinansowujący samorządy w realizacji nowych obowiązków. Na ten cel zapisano 297 mln zł. Resort Domańskiego wymusił, aby program działał wyłącznie na pierwszym etapie wdrażania reformy – przez cztery lata. Po tym czasie cały ciężar finansowy spadnie na samorządy.

Przeciwko przerzucaniu kosztów reformy na budżety lokalne zaprotestował m.in. Związek Powiatów Polskich. Samorządowcy wskazali, że powiaty i gminy już dopłacają setki milionów złotych do systemu, a nowa ustawa dorzuci im zadań bez gwarancji stałego finansowania z budżetu państwa.

Jednocześnie Ministerstwo Finansów zablokowało waloryzację dodatków i nowe uprawnienia dla asystentów rodziny i koordynatorów, którzy na co dzień wspierają pracę rodziców zastępczych w terenie. Najważniejsze, że wszystkie dzieci nasze są.

Bezkosztowi bezrobotni

Domański zapuścił żurawia w jeszcze jedno miejsce. Narzucił Dziemianowicz-Bąk sztywny limit, zgodnie z którym wydatki netto Funduszu Pracy na aktywizację bezrobotnych w 2027 r. nie mogą przekroczyć kwoty z 2026 r.

Utrzymywanie tak okrojonej puli środków drugi rok z rzędu wywołało falę protestów. Konwent Dyrektorów Powiatowych Urzędów Pracy, regionalne Rady Rynku Pracy i Rady Dialogu Społecznego oraz Związek Powiatów Polskich uderzyły na alarm, że w przyszłym roku urzędy pracy znowu szybko wyczerpią limity na staże, szkolenia czy dotacje na rozpoczęcie działalności gospodarczej.

Na etapie prac nad projektem budżetu w sierpniu wiceminister pracy Małgorzata Baranowska oraz samorządy wnioskowali do Domańskiego o zwiększenie tego limitu o 1,5 mld zł. Postulat nie został jednak uwzględniony… Samorządy trafnie określiły ten ruch jako spinanie budżetu kosztem najsłabszych.

Finalnie w projekcie ustawy budżetowej na przyszły rok na formy pomocy osobom bezrobotnym zaplanowano ok. 2,3 mld zł. W porównaniu do roku 2026 to wzrost o 150 mln – ledwie 7 proc. Symboliczna korekta sprawia, że część urzędów pracy wciąż będzie mogła zaoferować śladową ilość miejsc stażowych czy szkoleń, a w niektórych regionach nie zaproponuje nawet tego.

Warto wspomnieć, że Fundusz Pracy „dwudziestej gospodarki świata” jest w świetnej kondycji finansowej. Szacuje się, że na początku 2027 r. będzie dysponował kwotą 29,3 mld zł, a na koniec przyszłego roku poduszka finansowa spuchnie do blisko 32 mld zł.

Według analizy NSZZ „Solidarność” w projekcie budżetu przyszły rok przewidziano przekazanie aż 21,35 mld środków z tegoż Funduszu w zarządzanie lub depozyt ministrowi finansów z czego 20,35 mld zł w formie depozytów terminowych. Oznacza to, że kasa, która formalnie należy do FP i powinna służyć aktywizacji bezrobotnych i pomocy im, trafi tymczasowo do Domańskiego. A on wykorzysta ją do zarządzania płynnością budżetu państwa i zmniejszania potrzeb pożyczkowych, dzięki czemu kraj nad Wisłą mniej się zadłuży. Naturalnie środki te zostaną zwrócone Funduszowi Pracy wraz z odsetkami, ale w praktyce przez wiele miesięcy nie będą służyły najbardziej zainteresowanym – czyli bezrobotnym.

Kolejnym wicepremierem w rządzie Tuska został facet, dla którego najsłabsi obywatele są zagrożeniem dyscypliny budżetowej. Doniesienia o sukcesach gospodarczych kraju będą zagryzać gruzem.

IDALIA DUBICKA

W czasie wizyty przewodniczącej Parlamentu Europejskiego Roberty Metsoli w sejmie opozycja wywiesiła transparent „Tusk – Dictator”. Czy premier sobie na niego zasłużył?

W moim przekonaniu – absolutnie nie. Jego polityka wewnętrzna na wykresie byłaby sinusoidą, zmienną w czasie i bardzo niekonsekwentną.

Od Bodnara do Żurka

W kampanii wyborczej Tusk był zdecydowanym politykiem mówiącym o rozliczeniach pisowskiej ekipy za łamanie konstytucji i złodziejstwo – oraz populistą obiecującym powszechną szczęśliwość w ramach „100 konkretów na 100 dni”.

Po utworzeniu rządu zaczął ostro: przejął rękami Sienkiewicza publiczną telewizję, radio i PAP, do pałacu prezydenckiego wysłał policję Kierwińskiego po Kamińskiego i Wąsika. Później złagodniał, rozliczenia pozostawił komisjom śledczym sejmu oraz dobrodusznemu szefowi ministerstwa sprawiedliwości Adamowi Bodnarowi. Podjął próbę przywrócenia praworządności ustawami, ale kiedy prezydent Duda je zablokował, premier zarządził taktyczną pauzę, czekając na wybory prezydenckie – które koalicja koncertowo przegrała. Nieudanej kampanii Trzaskowskiego nie ma już sensu analizować – można tylko przypomnieć, że rozpoczynał ją z programem progresywnym, po czym zaczął przesuwać się w prawo, zmieniając swój wizerunek w sposób systematyczny, za to mało wiarygodny. Po przegranej premier dokonał przegrupowania sił: wspierając rotację marszałków na rzecz Włodzimierza Czarzastego, który w kontrze do wetomana prezydenta wymyślił „marszałkowskie weto”, i zamieniając umiarkowanego Bodnara na bardziej temperamentnego sędziego Waldemara Żurka. Rozliczenia przyśpieszyły, ale ich główną postacią jest nadal gonienie różnych pisowskich króliczków – bez finalizacji sądowej.

Za sprawiedliwego Żurka udało się wybrać nową Krajową Radę Sądownictwa – według niezgodnej z konstytucją pisowskiej ustawy, ale choć z prawyborami wśród sędziów. Podjęto też akcję odzyskania Trybunału Konstytucyjnego, wybierając hurtem sędziów na opróżnione miejsca i atakując zaczepnie Berkiem – prawą ręką premiera. Prezydent Nawrocki odpowiedział sabotażem, nie przyjmując od większości wybranych sędziów ślubowania i łamiąc w ten sposób ustawę o TK. Kontrakcja Tuskowych wybrańców została wsparta policją i Trybunał został odzyskany, acz w walce o przywró-

Testosteron

Marks i Lenin w obronie osób transpłciowych



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ponieważ Karol Nawrocki w Święto Niepodległości rugał, jak prawdziwy car, ministra finansów za to, że źle opiekuje się bogactwem „narodu”, sądzę, że od dziś powinniśmy mówić, iż mamy w Polsce rząd Jego Carskiej Mości.

Tylko dla reproduktorów

Otóż ów rząd Jego Carskiej Mości podjął świetlaną decyzję, aby testosteron był w dalszym ciągu refundowany w przypadku leczenia jego niedoboru u mężczyzn – ponieważ, jak wiadomo, mężczyzna pozbawiony testosteronu nie reprodukuje, a reprodukcja jest najważniejszym czynem mężczyzny ku wiecznej chwale „narodu”. Jednocześnie refundacja ta nie obejmuje osób transpłciowych znajdujących się w procesie tranzycji, czyli poddających się terapii hormonalnej związanej z korektą płci. Ponieważ reprodukcja służy interesom „narodu”, a tranzycja, jak z tego wynika, interesom „narodu” nie służy.

Rząd Jego Carskiej Mości nie musi przecież nikomu zakazywać tranzycji. Wystarczy, że jednym zrefunduje leczenie, a drugim każe za nie zapłacić z własnej kieszeni. Dysponując publicznymi pieniędzmi, może w ten sposób wspierać jedynie słuszne wzory płci. A jedynie słuszne wzory płci to takie, w których ludzie dzielą się na chłopa i babę, a transpłciowość czy niebinarność po prostu nie istnieją.

I tutaj ciekawostka naukowa. Otóż współczesna medycyna wie już całkiem dobrze, że ludzie niekoniecznie mieszczą się w dwóch przegródkach z napisami „chłop” i „baba”. Transpłciowość i niebinarność, czyli nieidentyfikowanie się wyłącznie jako kobieta lub mężczyzna, nie są żadnymi fanaberiami ani wynalazkami ideologów, lecz rzeczywistymi sposobami doświadczania własnej płci. Co więcej, w najnowszej Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-11 Światowa Organizacja Zdrowia posługuje się pojęciem doświadczanej płci (*experienced gender*), odróżniając ją od płci przypisanej przy urodzeniu. A zatem to, jak człowiek doświadcza własnej płci, ma dla współczesnej medycyny zasadnicze znaczenie. I nie jest to żadna ideologia, lecz wiedza medyczna.

Sądzę, że zarówno car Mikołaj, przepraszam, car Karol Wielki, jak i premier jego rządu na wieść o tych ustaleniach nauki doznają poważnego wstrząsu. W końcu trudno wymagać od współczesnej medycyny, żeby nadążała za poglądami rodem z XIX w. i w dodatku podporządkowywała się interesom „narodu”.

Wolność kontra kasa

Teraz Państwa zaskoczę: należy czytać Karola Marksa. Wiem, że to propozycja nieco ekstrawagancka w czasach, kiedy samo wymienienie jego nazwiska może wywołać u niektórych obrońców cywilizacji europejskiej gwałtowny skok ciśnienia, ale warto zaryzykować. Marks zauważył bowiem rzecz dość prostą: człowiek może być formalnie wolny, a jednocześnie pozostawać ekonomicznie zależny od innych. Na przykład profesor Balcerowicz mógłby nam wyjaśnić, że robotnik cieszy się pełnią wolności, ponieważ może swobodnie wybierać pracodawcę, zawierać z nim umowę, a nawet odmówić podjęcia pracy! Problem polega na tym, że jeśli nie ma co jeść ani za co opłacić rachunków, musi sprzedać swoją siłę roboczą, godząc się na warunki, które dyktuje mu pracodawca. Jego wolność kończy się zatem w chwili, gdy do drzwi puka windykator albo elektrownia odcina prąd. Właściciel kapitału nie musi więc nikogo zmuszać batem do podpisania umowy o pracę. Wystarczy, że człowiek po prostu nie ma innego wyjścia. Nawiasem mówiąc, istnieje

eprasa.pl 10853f64ab

Dwa kroki do przodu, jeden w tył


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Niekonsekwencja nie jest drogą do zwycięstwa

– Koalicji Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości – żadnego resetu nie będzie. Będą działać dwa trybunały: jeden rządowy, coraz mocniejszy w miarę nowych wakatów i nowego budżetu, oraz szczątkowy podejrzanego Święczkowskiego. Zamiast reformy ustrojowej Kosiniak-Kamysz może ugrać co najwyżej weto do ustawy o zniesieniu dwukadencyjności w samorządach. Hołownia – stanowisko ambasadora w Watykanie: u Tuska dzięki temu, że będzie miał go w końcu dość, u Nawrockiego – w dowód wdzięczności.

Otwarte pozostaje pytanie, jaki będzie ostateczny rezultat taktyki politycznej Donalda Tuska: dwa kroki w przód, jeden w tył? Czy zmienna linia polityczna w obecnej kadencji parlamentu doprowadzi go do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych 2027?

Czy w obliczu groźby recydywy rządów prawicy – tym razem w bardziej nacjonalistycznych barwach – wyborcy z 2023 r. wybaczą koalicji rządowej niezrealizowanie 100 konkretów nie tylko w 100 dni, ale nawet w cztery lata? Stan realizacji zobowiązań KO wedle ich własnych wyliczeń wynosi aktualnie 60; zdaniem mediów – zaledwie 39 proc. Podobny los spotkał obietnice innych ugrupowań koalicyjnych.

Badania opinii publicznej dają nieznaczną przewagę prawicowej opozycji.

Wojna to za mało

Ostra i zdecydowana polityka Tuska prowadzi do wzrostu poparcia Koalicji Obywatelskiej – ale zyskuje ona póki co wyłącznie kosztem koalicjantów. Rozprawa z Trybunałem Święczkowskiego dała satysfakcję fanatykom KO, ale zniechęca wahających się wyborców, którzy niedobrze odbierają siłowe rozwiązania i zaostrzenie kursu. Sprzyja też jednoczeniu się prawicy. Do tej pory ulegała ona głównie podziałom, umiejętnie podsycanym przez kierownika, np. poprzez wsparcie wyboru na wicemarszałka sejmu kandydata Morawieckiego kosztem PiS-u.

Mobilizacja własnych wyborców nie wystarczy, a zjedzenie przystawek nie będzie kompletne bez wspólnego komitetu wyborczego i list KO ze znanymi nazwiskami PSL, Lewicy, czy nawet masy upadłościowej po Polsce 2050. Do tego podziały na lewicy zmierzające do osobnego startu grożą zmarnowaniem głosów podobnym do 2015 r.

Złudzeniem jest również, że partie rządzące mogą jeszcze raz wygrać wybory bez rozwiązania podstawowych problemów społecznych: rosnących kolejek do lekarzy, nienadążających za wzrostem kosztów utrzymania płac w sferze publicznej, emerytur i rent.

Dla młodych ludzi podstawowym problemem jest nadal brak szans na własny dach nad głową – zwłaszcza w wielkich miastach.

W emocjach walki o praworządność większości polityków i wyborców umyka problem przewlekłości postępowań sądowych – ale istotne grupy obywateli się z nim borykają.

Dobrym przykładem właściwej reakcji rządu są decyzje w sprawie mrożenia kosztów energii elektrycznej i cieplnej oraz gazu dla ludności i instytucji społecznych. Odwrotnym przykładem jest cięcie limitów na różne procedury medyczne. Polityka Ministerstwa Zdrowia musi ulec zmianie, najlepiej razem z panią minister.

Ambiwalentny wpływ na popularność rządu ma polityka bezpieczeństwa i zbrojeń. Z jednej strony – straszenie możliwością rozlania się wojny na wschodnią flankę NATO ułatwia tłumaczenie społeczeństwu konieczności zwiększania nakładów na obronność i drastycznego wzrostu zadłużenia kraju. Z drugiej – ciągłe alarmy bez realnego zagrożenia we wschodnich województwach i zmęczenie społeczeństwa wspieraniem naszego ukraińskiego sojusznika stawiają rząd w trudnej sytuacji. Wydatki na zbrojenia zmniejszają też w istotny sposób możliwość realizacji zobowiązań wyborczych.

Na ostro

W tej zawiłej sytuacji politycznej Tusk wybrał konfrontację z prezydentem i prawicową opozycją. Z góry odrzucił też możliwość resetu najważniejszych instytucji prawnych Rzeczypospolitej.

Ten ryzykowny kurs premier próbuje osładzać polityką uśmiechu i pojednawczych gestów, które mają dobrze usposobić opinię publiczną – bez zmiany istoty polityki demokracji walczącej na obecnym etapie.

W praktyce w żadnym momencie koabitacji nie sprawdzono do końca możliwości porozumienia ponad podziałami politycznymi. Wspólna polityka obronna, dogadywanie się ministra obrony narodowej z pisowskimi prezydentami w sprawie nominacji generalskich, kompromis Tuska z prezydentem Nawrockim w sprawie obsady zarządu Narodowego Banku Polskiego – wskazują, że w niektórych kwestiach takie porozumienie jest jednak możliwe. W styczniu było też – wstępnie dogadane przez Sikorskiego – porozumienie w sprawie ambasadorów. Jego odrzucenie przez premiera – oraz radykalne rozstrzygnięcia w sprawie trybunału – wskazują na to, że przeważyła opcja wyraźnego podziału sceny politycznej przed nadchodzącymi nieuchronnie wyborami i to ona ma w decydującym stopniu przyczynić się do utrzymania władzy przez obóz demokratyczny.

Jeżeli się nie uda, uzdrowienie Krajowej Rady Sądownictwa, Trybunału Konstytucyjnego, a w dalszej kolejności Sądu Najwyższego i całego wymiaru sprawiedliwości skończy się resetem na warunkach prezydenta Nawrockiego i jego prawicowej koalicji.

W debacie publicznej za słabo są też prezentowane sukcesy rządu wynikające z odblokowania funduszy europejskich i nadania nowego impulsu gospodarce przy pomocy inwestycji za unijne w dużym stopniu pieniądze.

Walka o wartości demokratyczne nie wystarczy. Wskazują na to niemal wszystkie sondażownie.

Polityka obozu władzy, Panie Premierze, musi być spójna, konsekwentna i skierowana do wszystkich istotnych grup społecznych. W walce o przyszłość demokratycznej Polski trzeba pamiętać o sprawach, które dla społeczeństwa, dla ludzi codziennej pracy są najważniejsze; a nie jest to wojna między dwoma obozami, tylko poprawa ich sytuacji życiowej.

ZBYSZEK ZABOROWSKI

Autor był posłem II, III, IV, V i VII kadencji, w latach 2016–2019 wiceprzewodniczącym SLD.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

– Ten… ta… to się nada? – Poseł Krzysztof Szczucki z Rozwoju Plus pokazał Mateuszowi Morawieckiemu lalkę Barbie. Była naga i niewidoma, nie miała prawej nogi i lewej ręki, a jej fryzura pozostawiała naprawdę wiele do życzenia.

Były premier pokręcił głową.

– A to? – W drugiej ręce Szczucki trzymał Misia Paddingtona ze skołtunionym futerkiem, rozprutym brzuszkiem i w podartym płaszczyku.

I tym razem Morawiecki zaprzeczył.

– Trzeba się będzie stąd zbierać – powiedział, podnosząc rękę. Dla polityków Rozwoju Plus był to znak opuszczenia wysypiska śmieci. Wcześniej przeszukali już zarośla nad rzeką i zdewastowane ogródki działkowe, ale nie znaleźli tam tego, czego wypatrywali.

• • •

Przenieśli się do piwnicy sklepu ze starzyzną. Wszystkie pomieszczenia były tak zagracone, że w poszukiwaniach mogli wziąć udział tylko Michał Dworczyk i Marcin Horała. Myszkowali pół dnia. Bez rezultatu. Wyszli z twarzami brudnymi od kurzu i rękami powalanymi błotem.

– Nic – mruknął Horała. – Koniec na dziś?

– Jeszcze tylko jeden antykwariat – odrzekł Morawiecki. – Wygląda obiecująco.

• • •

W antykwariacie były nieoprawione roczniki gazet, porozrywane pudełka puzzli, niedziałające zegary z kukułką i pogięte maszyny do pisania. Oraz – jak zwykle w takich miejscach – mnóstwo ubrań cuchnących naftaliną.

I właśnie wśród tych ubrań, między płaszczem z bobrzym kołnierzem i poplamioną bonżurką, lśniły czyjeś oczy.

– Kim jesteś? – zapytał Szczucki, podejrzliwie patrząc na mężczyznę w wieku emerytalno-rentowym.

– Jak się nazywasz? – nalegał Horała.

Mężczyzna nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w Morawieckiego jak w obrazek.

– Ja go znam! – ucieszył się były premier.

Jeśli więc dziś pytacie, jak lider Rozwoju Plus znalazł kandydata na premiera, zanim zgłosił wniosek o konstruktywne wotum nieufności dla gabinetu Donalda Tuska, to wreszcie macie odpowiedź. Emeryt dwojga imion – Marek Jurek – kurzył się w szafie ze starą garderobą, ale dostał kolejną polityczną szansę. Okazała się jak zwykle nieudana.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

bat również na właściciela kapitału. Nazywa się związki zawodowe i warto o tym pamiętać.

Władza ekonomiczna, która wytwarza zależność i podporządkowanie, ma jednak także inne oblicze. Są to oblicza rodziców, którzy utrzymują dorastające dziecko, zapewniając mu mieszkanie, wyżywienie i pieniądze na codzienne wydatki. Dopóki wszystko układa się zgodnie z rodzicielskimi oczekiwaniami, taka zależność może wydawać się czymś zupełnie niewinnym. Sytuacja zmienia się jednak, kiedy dziecko odrzuca „moralne dziedzictwo narodowe" i informuje rodziców, że jest homoseksualne lub biseksualne, transpłciowe lub niebinarne.

Jeden z teoretyków queer, Daniel Cockayne, zwraca uwagę na mechanizm, który może się wówczas ujawnić: zasoby materialne stają się narzędziem kontroli. Rodzice mogą oznajmić dziecku, że albo porzuci swoje dziwaczne pomysły, albo może się pakować i wyprowadzać z domu. I tak dom, który miał być przytulnym miejscem, pełnym miłości i bezpieczeństwa, staje się miejscem ekonomicznego szantażu.

To właśnie ten sam mechanizm, który odnajdujemy w decyzji rządu dotyczącej refundacji testosteronu. Ten, kto trzyma kasę, może narzucać swoją wolę tym, którzy są od niego ekonomicznie zależni. A ponieważ mamy niezwykłe szczęście żyć w państwie, w którym polityka „narodowego dziedzictwa" jest wykorzystywana do uzasadniania obowiązkowej heteroseksualności i narzucania ludziom przynależności do jednej z dwóch płci, przewaga ekonomiczna służy takiemu zamordyzmowi. Zarówno w rodzinie, jak i w polityce państwa osoby „niedostosowane narodowo" ponoszą materialną odpowiedzialność za swoje wybryki.

Odmiany reprodukcji

Cockayne dodaje jednak coś jeszcze. Feministki od dawna zwracają uwagę na pracę reprodukcyjną, czyli cały ten wysiłek, bez którego nie dałoby się ani urodzić i wychować dzieci, ani utrzymać ludzi przy życiu. Ktoś przecież musi gotować, sprzątać, opiekować się dziećmi, chorymi i starszymi. Problem polega na tym, że najczęściej robią to kobiety, a zgodnie z patriarchalną logiką praca w domu to nie praca, tylko „powołanie". Kobieta nie pracuje, tylko kocha: bezinteresownie, bez wytchnienia i bez wystawiania rachunków.

Cockayne uważa jednak, że do pracy reprodukcyjnej należy zaliczyć również wysiłek tych, którzy pomagają przetrwać ludziom odrzuconym przez rodziny i społeczeństwo. Bo jeśli homoseksualnego syna wyrzucono z domu, to ktoś musi mu pomóc znaleźć dach nad głową. Jeśli osoba transpłciowa nie ma pieniędzy na terapię hormonalną, ktoś może zorganizować zbiórkę. Jeśli człowiek został sam, inni mogą stworzyć sieć wzajemnego wsparcia. I okazuje się, że można podtrzymywać ludzkie życie bez błogosławieństwa rodziny, Kościoła i „narodu". Co więcej, można to robić nawet dla ludzi, których istnienie tym trzem instytucjom najwyraźniej przeszkadza.

Skoro przywołałem już Karola Marksa, wywołując konsternację wśród aktualnych i aspirujących wodzów „narodu", przywołam także Lenina, aby doprowadzić ich do całkowitego szoku poznawczego.

Lenin stwierdził, że państwo jest zorganizowanym systemem przemocy jednej klasy przeciwko drugiej. W naszym przypadku państwo staje się machiną przemocy ekonomicznej wobec osób transpłciowych, których władza państwowa najwyraźniej nie uznaje za pełnoprawnych obywateli.

Traktuje ich jak nieobywateli. A kto wie, może nawet nieludzi – przecież faszystowskie tendencje we współczesnej Polsce przybierają na sile, zalewając nas brunatną falą.

Państwowa przemoc ekonomiczna służy ostatecznie temu samemu, czemu może służyć w rodzinie: wypychaniu osób „niesubordynowanych narodowo" na margines i pozbawianiu ich możliwości normalnego funkcjonowania. Pieniądze stają się narzędziem realizacji tego celu. W ten sposób ekonomiczna zależność pomaga utrwalać system segregacji obywateli ze względu na płeć i seksualność. Wzorem „narodowej normalności" staje się zatem car Karol Wielki, superheteroseksualny i supermęski, z bejsbolem w jednej ręce, a krzyżem w drugiej, cały wypełniony bezpłatnym testosteronem.

JACEK KOCHANOWSKI

eprasa.pl 10853f64ab

Pierwsze damy dają big techom

Bezpieczeństwo dzieci marketingowym parasolem dla korporacji

18 listopada 2026 r. w pałacu prezydenckim rozpoczęła się zorganizowana z inicjatywy Marty Nawrockiej międzynarodowa dwudniowa konferencja „Ich przyszłość. Nasza odpowiedzialność". Jubel dotyczył ochrony bachorząt przed zagrożeniami w internecie – takimi jak hejt, cyberprzemoc, szkodliwe algorytmy czy ryzyka związane ze sztuczną inteligencją.

Cyfrowa gówniakocepcja

Zaledwie kilka dni wcześniej prezydent Karol Nawrocki zawetował kolejną nowelizację Aktu o usługach cyfrowych, która miała umożliwić blokowanie nielegalnych treści w internecie. Oskarżył rząd o grę na emocjach wokół ataków nożowników w polskich szkołach, by przeforsować „cenzurę prewencyjną w sieci". Przypomniał też, że państwo ma już narzędzia przeciwko treściom terrorystycznym, więc można się rozejść.

Prezydent udowodnił tym samym, jak mgliste ma pojęcie o cyfrowych zagrożeniach czyhających na milusińskich. Paradoksalnie, choć konferencja jego małżonki częściowo celnie wypunktowała realne niebezpieczeństwa w sieci, nie przyniosła żadnych konkretnych rozwiązań. W zasadzie jeśli wgryźć się w szczegóły imprezy, można odnieść wrażenie, że odpowiedzialność za dzieciarnię spoczywa na wszystkich, byle nie na tych, którzy projektują i monetyzują internetową rzeczywistość. To nie przypadek.

Konferencja Nawrockiej była kontynuacją deklaracji złożonych podczas marcowego spotkania z Melanią Trump.

23 września 2025 r. w Nowym Jorku podczas 80. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ pierwsza dama USA przedstawiła światu pomysł utworzenia koalicji „Fostering the Future Together", której celem jest wspieranie edukacji dzieci oraz ich bezpieczeństwa w erze cyfrowej i sztucznej inteligencji. Koalicja ma chronić najmłodszych przed cyberprzemocą, manipulacją i zagrożeniami wynikającymi z gwałtownego rozwoju AI. Program zakłada też zapewnienie dzieciakom z mniej zamożnych regionów świata dostępu do nowoczesnych narzędzi cyfrowych. Jednocześnie polityczna śmietanka zobowiązała się, że będzie przeciwdziałać wynikającym z cyfrowych harców uzależnieniom.

Inicjatywa – z czym Biały Dom się wcale nie krył – opiera się na publiczno-prywatnym partnerstwie z największymi firmami technologicznymi, które zadeklarowały konkretne zasoby sprzętowe i finansowe dla jej wsparcia. Wśród partnerów znalazły się m.in.: Google, która zaoferowało 4 mln dol. na szkolenia cyfrowe nauczycieli, Amazon (asystent programowania dla 5 mln uczniów), Starlink (dostęp do sieci w wybranych krajach rozwijających się) oraz Adobe, Intel, Zoom i Microsoft (oprogramowanie edukacyjne i sprzęt komputerowy do szkół w kilkudziesięciu państwach).

W pierwszym dużym spotkaniu koalicji zorganizowanym przez Melanię Trump w Departamencie Stanu i Białym Domu w marcu br. wzięły udział delegacje 45 państw (w tym Polski) oraz 28 firm technologicznych. Tym samym inicjatywa na rzecz ochrony dzieci przed zagrożeniami cyfrowymi stała się inicjatywą promującą dostęp tychże dzieci do technologii sprzedawanych przez korporacyjnych gigantów. To trochę tak, jakby branża tytoniowa zaczęła dorzucać inhalatory do swoich produktów. Firmy, których działalność wymaga skutecznego nadzoru, nie powinny jednocześnie występować w roli głównych dostawców recept na problemy, do których same mogą się przyczyniać.

Nawrocka i jej goście zdawali się tym kontrowersjom bliżej nie przyglądać.

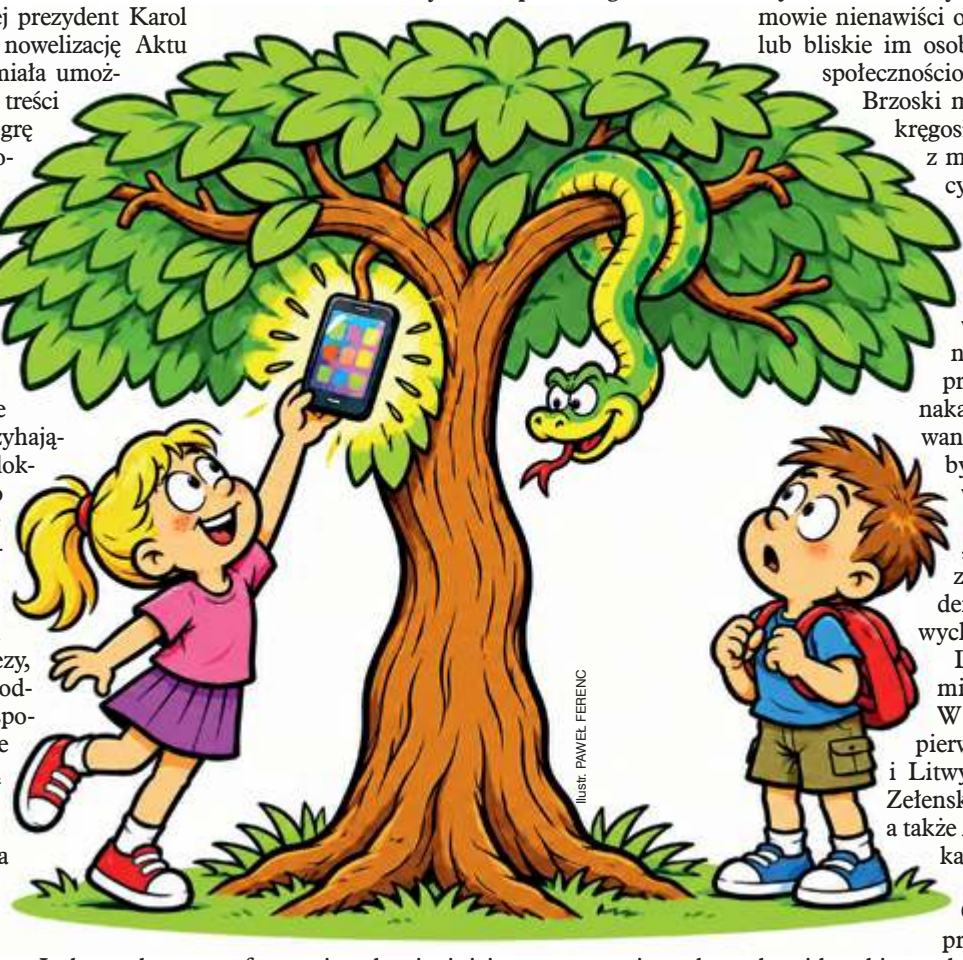

ilustr. PAWEŁ FERENC

Frazesy ponad podziałami

Stronę rządową na raucie prezydentowej reprezentowali m.in. rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak, prezes NIK Mariusz Hładyj, przewodnicząca KRRiT Agnieszka Glapiak. Była też parka posłów Konfederacji: Karina Bosak oraz Bartłomiej Pejo – przewodniczący Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii.

Obecność ostatniego prelegenta jest o tyle frapująca, że po zamachu w Krakowie wrzucił w social media kadr z zatrzymania sprawcy wyostrzony przez AI, przy czym nie zauważył, że algorytm dorysował policjantowi dodatkowe palce. Sprawa odbiła się szerokim echem kpiny, ale widać pierwsza dama postanowiła dać „ekspertowi" Pejo szansę na rehabilitację.

Z ramienia Kancelarii Prezydenta głos zabrał Adam Andruszkiewicz. Zastępca szefa KPRP przytomnie zauważył, że spotkanie ma miejsce po wecie prezydenta Nawrockiego do ustawy wdrażającej akt o usługach cyfrowych (DSA). „Wiemy, że dzisiaj w Polsce dyskusja publiczna na ten temat jest bardzo duża. W Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej mamy w tej sprawie bardzo proste hasło: chrońmy dzieci, nie róbmy na tym polityki" – podsumował.

Debata skupiła się na wypłowiałych frazesach o zdrowym rozwoju, wolności, przyszłości młodego pokolenia i roli edukacji medialnej.

Ważną częścią wydarzenia była rozmowa z celebrytkami – Alicją Bachledą-Curuś oraz Omeną Mensah. Snuły smutne opowieści o hejcie, mowie nienawiści oraz oszustwach, których one lub bliskie im osoby doświadczyły w mediach społecznościowych. Małżonka Rafała Brzoski musi mieć wyjątkowo mocny kręgosłup od politycznej jogi. Wraz z mężem toczą od wielu miesięcy batalię prawną przeciwko koncernowi Meta dotyczącą oszukańczych reklam z ich sztucznie wygenerowanym wizerunkiem. Jednocześnie wzięła udział w imprezie niejako firmującej odrzucenie przepisów, które pozwoliłyby nakazywać platformom blokowanie nielegalnych treści. Żeby było zabawniej, 18 listopada w sieci pojawiło ogłoszenie z fikcyjną galą bokserską „NowRocky Boxing Night" z wizerunkiem samego prezydenta, oferujące sprzedaż fałszywych biletów i pakietów VIP.

Drugi dzień konferencji miał międzynarodowy charakter. W spotkaniu uczestniczyły pierwsze damy Polski, Ukrainy i Litwy – Marta Nawrocka, Ołena Zełenska oraz Diana Nausėdienė, a także Mirabela Grădinaru, partnerka prezydenta Rumunii. Stany Zjednoczone reprezentowała Charity Wallace. Specjalne przesłanie za pomocą materiału wideo skierowała do uczestników sama Melania Trump.

Prezydentowa zza oceanu podziękowała prezydentowej znad Wisły i stwierdziła, że krajowe zaangażowanie na rzecz następnego pokolenia jest inspirujące. Skierowała też wezwanie „do każdego państwa", aby „budowało na bogatym dziedzictwie Europy" i wspierało jej misję „Fostering the Future Together". Jakżeby inaczej. Ba, najlepiej, żeby państwa brały przykład z samej Polski, gwoli ścisłości, z prezydenta Nawrockiego.

Brzydkie sprawki

W sierpniu ubiegłego roku Reuters opublikował ciekawe śledztwo. Według dokumentu Departamentu Stanu z 4 sierpnia 2025 r., podpisanego przez Marco Rubio,

amerykańscy dyplomaci otrzymali polecenie prowadzenia kampanii lobbingowej w Europie przeciwko Digital Services Act (DSA). Krucjata miała na celu zawężenie definicji nielegalnych treści i ograniczenie – a najlepiej uwalenie – kar za cyfrowe występki.

Reuters wskazał, że władze USA uzasadniały tę kampanię obroną szeroko pojętej wolności słowa oraz interesów amerykańskich przedsiębiorstw technologicznych. DSA krytykowała sama Meta, uprawiając dąsy, że regulacje to nadmierna kontrola nad treściami publikowanymi na jej platformach: Facebooku i Instagramie, z których chętnie korzystają dzieciaczki.

DSA nie jest wyłącznie instrumentem cenzury czy usuwania treści. Nakłada na platformy szereg obowiązków: przejrzystość moderowania treści, uzasadnianie decyzji o usuwaniu materiałów (tak, tak: oni usuwają treści użytkowników bez tłumaczenia i decyzji sądu), możliwość odwoływania się internautów w przypadku szkód wyrządzonych przez algorytm. Unijny glejt zobowiązuje też technologiczne molochy do ochrony małoletnich.

Bezpieczeństwo bachorni stanowi argument niemal nie do podważenia. Dzięki inicjatywie Melanii Trump agenda technologiczna zyskuje szykowną oprawę w postaci wiarygodnych ambasadorek, jakimi są pierwsze damy. Współpraca z big techami jest przedstawiana jako szansa edukacyjna. Większość zobowiązań programu dotyczy przecież wprowadzenia produktów i infrastruktury technologicznej do systemów edukacyjnych. Krótko mówiąc, projekt otwiera korporacjom drzwi do współpracy z wieloma państwami. Te same korporacje, które pochylają się z troską nad najmłodszymi, zarabiają grubą kasę na ich danych, uwadze i czasie spędzanym na platformach. Nie ma żadnej tajemnicy w tym, że ich modele biznesowe opierają się między innymi na mechanizmach maksymalizujących zaangażowanie użytkowników – szczególnie tych najmłodszych, wszak czym skorupka za młodu nasiąknie …

„Nie możemy odpowiedzialności za wychowanie przenosić na państwo i urzędników. Wszyscy musimy interesować się światem dzieci, również światem cyfrowym. Rozmawiać, słuchać, być" – orzekła podczas konferencji Marta Nawrocka. Oczywiście trudno się z tym nie zgodzić. Równie istotne są kompetencje cyfrowe. Niemniej następuje tu mało subtelne przesunięcie odpowiedzialności. To big techom należy tłumaczyć, co mają zmienić w sposobie projektowania algorytmów czy systemach rekomendacji, żeby zabezpieczyć dzieciaki przed gównianymi treściami.

Wykorzystywanie bezdyskusyjnego postulatu ochrony najmłodszych do ocieplania wizerunku korporacji technologicznych pod państwowym patronatem to cyniczny PR z politycznym namaszczeniem.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Sieć Żabka, we współpracy z narodowym gigantem PKO BP, postanowiła ucywilizować polską nędzę. Wprowadzają Żappka Pay – kredyt do 2 tys. zł, za który kupisz wódkę i papierosy. To milowy krok w rozwoju naszej kultury: ongiś branie na zeszyt u lokalnej sklepowej było aktem desperacji i wstydliwym marginesem, który surowo wykluczał używki. Dziś zadłużanie się na flaszkę to nowoczesna usługa finansowa pobłogosławiona przez bank i zintegrowana z mObywatelem. Wreszcie doczekaliśmy czasów, w których państwo pomaga obywatelowi sfinansować raka płuc i marskość wątroby na raty. Postęp jest nieubłagany: kiedyś piło się za swoje, dziś pije się za pożyczone, by jutro nie mieć z czego oddać.

▮ Według Barometru Providenta na tegoroczne Boże Narodzenie statystyczny rodak wysupła średnio 1410 zł. Kwota to symboliczna, bo kojarzy się z bitwą pod Grunwaldem. Prawie co piąty Polak już wie, że na pełną celebrację mu nie starczy, a 40 proc. populacji zamierza celebrować narodziny Zbawiciela, żrąc wyłącznie najtańsze produkty. Na prezenty wydamy o blisko 200 zł mniej niż rok temu. Mechanizm upadku jest prosty: skoro naród z oszczędności przestaje żreć i kupować, produkcja zdycha. Tak właśnie wygląda oczekiwanie na cud, który nie nadejdzie, bo nawet Święty Mikołaj nie obsługuje klientów z zerową zdolnością kredytową.

▮ Polacy masowo przerzucają się na ogrzewanie domów owsem, który przy cenie 600–700 zł za tonę jest niemal trzykrotnie tańszy od pelletu kosztującego ponad 2000. Ziarno pali się świetnie, a naród znów udowadnia, że żołądek pieca jest ważniejszy od żołądka konia. Historia lubi takie paradoksy: w Brazylii pociągi napędzano ongiś kawą, bo wychodziła taniej niż węgiel. Magiczna ręka wolnego rynku właśnie pokazuje nam, że jedzenie służy do grzania, a nie do jedzenia.

▮ Właściciel Biedronki, portugalski kolonizator Jeronimo Martins, został ostatecznie skarcony kwotą 170 mln zł za to, że wyciskał dostawców warzyw jak cytryny. Sąd, wykazując się wzruszającą empatią, zredukował pierwotne 723 mln zł proponowane przez UOKiK. Jedno jest pewne: w Biedronce taniej już było, bo teraz tę karę sfinansują emeryci przy kasach, kupując chleb z marżą na poczet sądowych wydatków.

▮ W Piasecznie szkoła zafundowała drugoklasistom lekcję przetrwania, serwując im na deser nieobrane kaktusy (opuncje zwane figami kaktusowymi). Dzieci wróciły do domów z igłami w językach, co intendentka skwitowała uwagą, że owoce były przecież umyte. To szczyt pedagogicznego wyrafinowania: uczyć bachory od małego, że darmowy posiłek od państwa zawsze musi boleć. Skoro opuncja nie jest stałym elementem polskiej diety, dyrekcja powinna następnym razem podać dzieciom drut kolczasty – efekt podobny, a taniej wyjdzie.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 10853f64ab

Narodowi czytacze

Co trzeba zrobić, żeby naród jeszcze mniej czytał? Poczytać mu!

Kiedy człowiek bierze do ręki książkę, nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. Może się wzruszy, może czegoś dowie, a może – co najgorsze – zacznie samodzielnie myśleć. Dlatego czytanie, zwłaszcza narodowe, wymaga w Polsce opieki.

Czytanie lektur na głos uruchomił Bronisław Komorowski. Dnia 8 września 2012 r. prezydent zaczął czytać „Pana Tadeusza" w warszawskim Ogrodzie Saskim. Program zapowiadano od godz. 11.00 do 0.30, co dowodziło wiary organizatorów zarówno w Mickiewicza, jak i w wytrzymałość słuchaczy. Kolejne księgi powierzono między innymi Andrzejowi Sewerynowi, Andrzejowi Chyrze, Krystynie Jandzie, Soni Bohosiewicz i Jerzemu Treli. Chopina mieli grać Janusz Olejniczak, Andrzej Jagodziński, Joanna Ławrynowicz i Paweł Wakarecy. Literatura otrzymała więc zawodową obsługę głosu i fortepianu, a prezydent mógł spokojnie wykonać najważniejszą czynność urzędową, czyli na głos powiedzieć „Litwo, ojczyzno maja". Konstrukcja programu była rozsądna – głowa państwa nadawała wydarzeniu rangę, po czym ludzie, którzy umieją zawodowo operować oddechem, przejmowali odpowiedzialność za zdania.

Prezydencja słowna

Po Komorowskim czytelniczą opiekę nad narodem przejął Andrzej Duda, który w 2015 r. z małżonką rozpoczął lekturę „Lalki". Następnie były „Quo vadis", „Wesele" i „Przedwiośnie", później osiem nowel polskich, „Balladyna", „Moralność pani Dulskiej", „Ballady i romanse", „Nad Niemnem" i „Kordian". W 2025 r. czytano Kochanowskiego, już z udziałem Karola i Marty Nawrockich, a w 2026 r. przyszła kolej na „Dziady".

Z czasem akcja urosła do rozmiarów, przy których prezydencka pieczęć mogła już uchodzić za osobną gałąź przemysłu kulturalnego. W 2018 r. „Przedwiośnie" czytano w blisko 3 tys. miejsc, w tym w 134 poza Polską, w 33 krajach, nawet na Antarktydzie. W 2020 r. „Balladyna" trafiła do ponad 3200 miejsc, a podczas finału w 2025 r. Marta Nawrocka mówiła o blisko 6,5 tys. miejsc w kraju i za granicą. Są to liczby lokalizacji, nie uczestników, więc nie należy robić z nich statystyki narodowego oczytania. Nawet Antarktyda dostała Żeromskiego, chociaż tamtejsze warunki pozwalają podejrzewać, że metaforę szklanych domów odbierano ze szczególną ostrożnością.

Nie wszystko jednak sprowadzało się do prezydenckiej celebracji. W Morawicy „Wesele" dostało zastawione stoły, weselną muzykę i tańce miejscowego zespołu. W Zduńskiej Woli uczniowie próbowali odczytywać Kochanowskiego w XVI-wiecznym zapisie, co przynajmniej pozwalało przekonać się, że trudność tekstu nie zawsze wynika z tego, iż autor nie używał emotikonów. W Łazach czytano fraszki, pieśni i treny przy fontannie. Warszawski Targówek rozłożył akcję na kilka dni, zapraszał do Metroteki na stacji Kondratowicza, proponował audiobooki, quiz i przestrzeń z lipą, kałamarzem oraz mapą podróży poety. W Krasnymstawie funkcjonariusze i osadzeni analizowali „Kordiana" w świetlicach aresztu.

Słowo siglem się stało

Kościół nie mógł pozostać obojętny na taki sukces. Odpowiedź pojawiła się pięć lat po inauguracji Komorowskim. Pierwszy Narodowy Dzień Czytania Pisma Świętego zorganizowano 30 kwietnia 2017 r. Inspiracją były obchody 1050. rocznicy chrztu Polski, pierwszą lekturą został List do Galatów, z hasłem „Weź i czytaj!". Panowie w koloratkach tłumaczyli: „Chodzi nam o modlitewne czytanie Słowa Bożego". Trudno o wyraźniejsze określenie różnicy. Biblioteka może zaprosić do przeczytania książki i pozwolić wyjść z własnym zdaniem. Kościelna inicjatywa od początku prowadziła ku narzuceniu odbioru. Słuchający nie miał jedynie poznać treści, ale i odpowiednio zareagować.

Już pierwsza edycja pokazała, że przy czytaniu Biblii nie może zabraknąć obsady politycznej. W krakowskich Łagiewnikach fragment Listu do Galatów odczytała premier Beata Szydło, kolejne części – rodzice prezydenta Jan Tadeusz Duda i Janina Milewska-Duda, a także senator Mieczysław Gil. Homilię strzelił abp Marek Jędraszewski. Tak to inicjatywa mająca skłonić zwykłego wiernego do osobistego spotkania z tekstem rozpoczęła się w towarzystwie szefowej rządu, rodziny głowy państwa, senatora i arcybiskupa. List był do Galatów, ale obsada zdecydowanie krajowa.

W następnym roku czytano List do Rzymian, a patronat honorowy sprawowali abp Stanisław Gądecki i premier Mateusz Morawiecki. W 2019 r. przyszła Ewangelia Jana, w 2020 r. – Mateusza, w 2021 r. wskazywano Marka i Księgę Mądrości, w 2022 r. – Łukasza, w 2023 r. – znowu Jana, w 2024 r. – Dzieje Apostolskie. Na 2025 r. wybrano dwa Listy do Koryntian i Pierwszy List Piotra, a w 2026 r. – dwa Listy do Tesaloniczan, dwa do Tymoteusza i List do Tytusa. Przy świeckim Narodowym Czytaniu zmieniały się powieści, dramaty, nowele i poezja. W kościelnym można było podróżować po rozdziałach tej samej książki, zawsze z przewodnikiem posiadającym stosowne uprawnienia.

Najciekawsze jest jednak to, co wierny miał zrobić po uroczystości. Organizatorzy proponowali rozdawanie karteczek z fragmentami lub odsyłaczami do Biblii. Nazywano je między innymi „Chlebem życia", później często siglami. Człowiek miał zabrać wskazanie do domu, znaleźć odpowiednie miejsce we własnym egzemplarzu, przeczytać je uważnie, odnieść do swojego powołania i aktualnej sytuacji, a nawet nauczyć się na pamięć. W świeckim czytaniu można przynieść książkę i dostać pieczątkę. W kościelnym idzie się na mszę i dostaje zadanie domowe.

Oczywiście spontaniczne spotkanie ze słowem wymagało odpowiedniego przygotowania kancelaryjnego. W 2019 r. dla parafii i szkół przewidziano plakaty, folder z komentarzami, prezentacje multimedialne, sigla oraz płytę CD. W 2026 r. Episkopat informował o specjalnych materiałach liturgicznych, katechetycznych i pastoralnych przekazywanych parafiom za pośrednictwem kurii. Zanim wierny otworzył Biblię, obieg dokumentów zdążył już przejść przez struktury duszpasterskie. Bóg przemawiał do człowieka, lecz organizacyjnie pomagały mu biuletyn, plakat i kuria.

Słowo z pochodniami

Przygotowany na 19 kwietnia 2026 r. program głównych obchodów wyglądał jak telewizyjna sztafeta. O godz. 7.00 w Łagiewnikach kard. Grzegorz Ryś i transmisja TVP1. O 9.00 w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej ks. Marcin Kowalski, profesor KUL i członek Papieskiej Komisji Biblijnej, oraz Polsat. O 9.30 na Jasnej Górze ks. Tomasz Siuda i TV Trwam. O 11.00 w rzeszowskim kościele św. Judy Tadeusza ks. Henryk Witczyk z ks. Markiem Dzikiem. Trudno zarzucić organizatorom brak troski o widzialność przedsięwzięcia. Kto nie znalazł Biblii na półce, ściągał ją pilotem.

Najciekawsza wiadomość nie pochodzi jednak z centralnej transmisji ani z wypowiedzi hierarchów. Znalazła się w relacji parafii Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Wejherowie po obchodach w 2023 r. Czytano tam fragmenty Ewangelii Jana przed mszą i po niej, a przy wyjściu można było zabrać karteczkę z siglami.

I właśnie przy tym punkcie odnotowano: „jak stwierdził pan kościelny, słabo to szło". W jednym zdaniu podano informację, której nie zastąpią trzy konferencje o potrzebie pogłębienia kontaktu ze słowem bożym.

Świecka akcja nie dowodzi samymi tysiącami lokalizacji, że Polacy nagle stali się społeczeństwem czytelników. Jednak jej organizatorzy przynajmniej podają rozmiary sieci wydarzeń. W kościelnym przekazie ogólnopolskość często występuje jako założenie, że skoro inicjatywę skierowano do wszystkich, to wszyscy uczestniczą.

Pouczająca jest nawet strona KAI nosząca nazwę całego przedsięwzięcia. Czytelnik, który spodziewa się bilansu, historii, liczby uczestników i opisu rezultatów, trafia na archiwum opracowań biblijnych. To bardzo kościelna odpowiedź na problem czytelnictwa – gdy nie wiadomo, czy ludzie czytają, należy przygotować im jeszcze więcej tekstów tłumaczących, dlaczego powinni.

Prezydenci również mają słabość do zamieniania książki w uroczystość własnego urzędu. Podczas czytania „Dziadów" Nawrocki mówił o trwaniu wspólnoty narodowej dzięki kulturze, literaturze i językowi. Różnica polega na tym, że spod prezydenckiej pompy literatura potrafi się wydostać. „Moralność pani Dulskiej" skłoni do myślenia o obłudzie również wtedy, gdy patron uroczystości wolałby widzieć ją wyłącznie u przeciwników. „Wesele" nie przestaje być niewygodną opowieścią o zbiorowych złudzeniach tylko dlatego, że ktoś przeczyta je z państwową pieczęcią. A „Przedwiośnie" nie musi potwierdzać dobrego samopoczucia władzy. Kościelne czytanie zostało natomiast od początku obudowane wskazanym celem modlitewnym, rozważaniem, katechezą i praktyką religijną. Kościół zobaczył atrakcyjną formułę publicznego czytania, lecz dołączył do niej swój nieodłączny produkt: opiekę nad wnioskami i pana kościelnego, który patrząc na niewzięte karteczki, psuje całe biskupie samozadowolenie.

ADRIAN SIECZKOWSKI

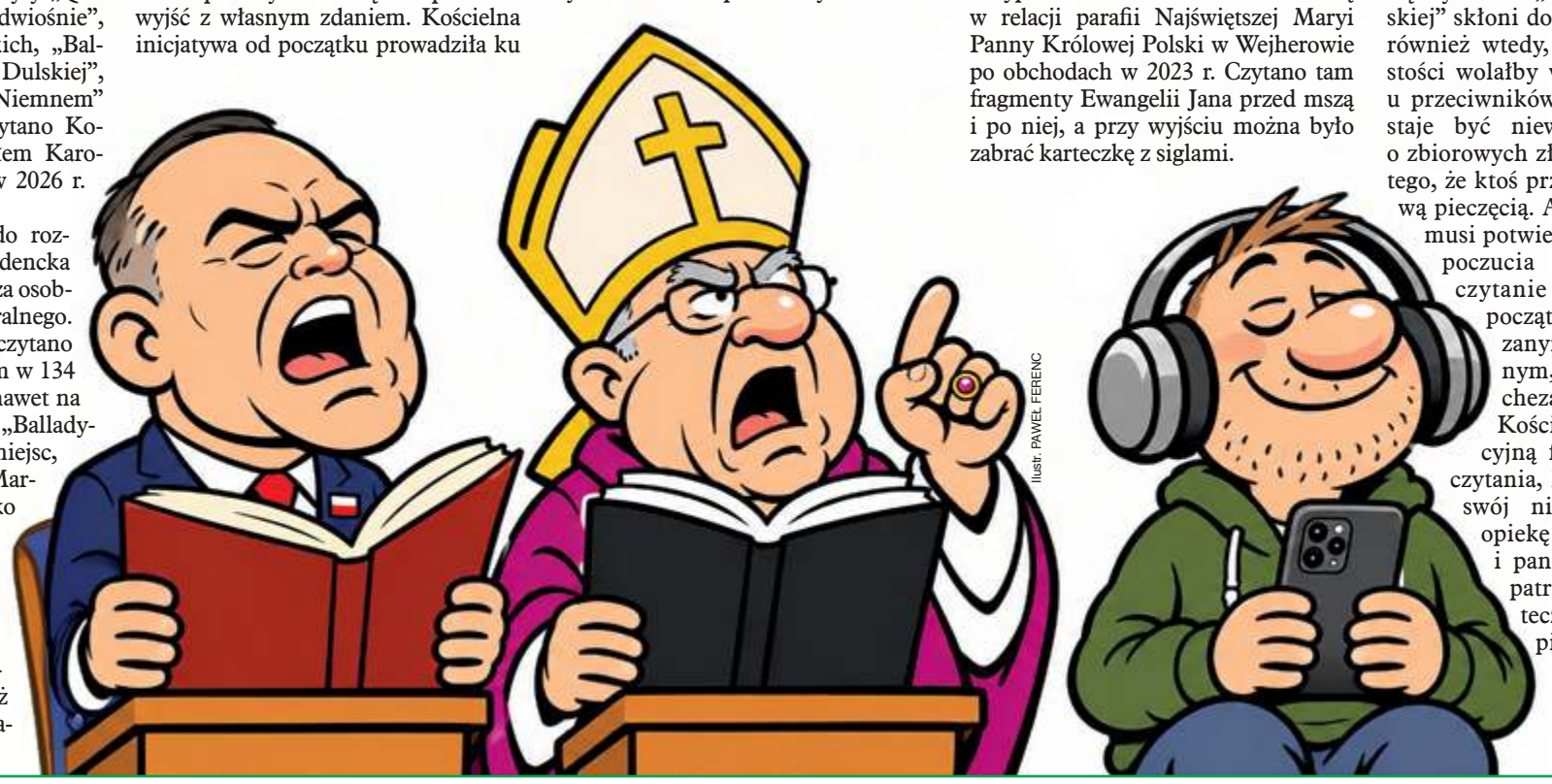

ilustr. PAWEŁ FERENC

■ Rafał Gaweł, który w Polsce dorobił się prawomocnego wyroku dwóch lat więzienia za pospolite oszustwa majątkowe, w Norwegii przeszedł proces resocjalizacji przez azyl. Zamiast polerować pryczę w polskim zakładzie karnym, zasiadł w Oslo jako ławnik sądowy, by z powagą wymierzać sprawiedliwość innym. Norweskie instytucje, mimo trzech kontroli, nie dopatrzyły się w jego życiorysie niczego, co przeszkadzałoby w sądzeniu bliźnich. Co kraj, to obyczaj: u nas skazaniec, u nich filar praworządności.

■ W miejscowości Złota 74-letni koneser hinduskiej motoryzacji dosiadł wozu marki Tata, mając w głębokim poważaniu dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Sąd, wykazując się wiarą w długowieczność, dołożył mu trzy miesiące odsiadki i kolejne cztery lata zakazu. Biorąc pod uwagę, że według GUS statystyczny Polak zwija żagle w wieku 75 lat, ten dodatkowy wyrok to czysta poezja biurokracji. Sąd najwyraźniej uznał, że skoro jedno dożywocie nie zadziałało, to drugie – tym razem terminowe – na pewno zdziała cuda. To piękny przykład optymizmu: karać kogoś zakazem jazdy na czas, którego ten prawdopodobnie już nie ma.

■ Allegro postanowiło zabawić się w ekologiczne zbawianie świata, obiecując lasy za odbieranie paczek. Skończyło się jak zwykle: miliony drzew istnieją tylko w wyobraźni marketingowców, a te, które faktycznie rosną, stały tam już przed akcją. UOKiK wycenił to zielone kłamstwo na blisko 55 mln zł. To podręcznikowy przykład greenwashingu (ekologicznego mydlenia oczu). Klient czuje się lepszym człowiekiem, bo odebrał przesyłkę, a firma czuje się bogatsza, bo oszczędziła na sadzonkach. Za taką kwotę to nawet urzędnicy UOKiK mogliby wreszcie coś konkretnego posadzić. Na początek proponuję cały las, a w dalszej kolejności – kogoś z zarządu za robienie z narodu idiotów.

■ Hitem tegorocznej rekrutacji na studia okazało się projektowanie i budowa jachtów. O jedno miejsce biło się blisko 24 chętnych, zostawiając w tyle medycynę i mikroelektronikę. Polska młodzież uznała, że bardziej przyszłościowe od ratowania życia czy postępu technicznego jest struganie luksusowych łodzi dla tych, których stać na omijanie podatków. To zresztą dowód na niezwykły instynkt samozachowawczy młodego pokolenia: skoro Polska od lat konsekwentnie idzie na dno, warto przynajmniej wiedzieć, jak zbudować coś, co utrzyma się na powierzchni.

■ W Kraśniku Górnym dwoje 16-latków skróciło sobie drogę do wieczności, dosiadając mechanicznego potwora marki KTM. Finał był klasyczny: zakręt, płot, drzewo i dwa świeże trupy na asfalcie. On nie miał prawa jazdy, maszyna nie miała rejestracji, a pasażerka – zapewne w imię ochrony nienagannej fryzury – nie miała kasku. Teraz prokuratura bada okoliczności, by po miesiącach analiz dojść zapewne do genialnego wniosku: gdyby chłopak posiadał stosowny kartonik, a dziewczyna chroniła czaszkę, to zamiast gnić w ziemi, nadal zatruwaliby życie sąsiadom rykiem silnika. Mamy zatem kolejny dowód na to, że ułańska fantazja najlepiej prezentuje się w nekrologach.

■ W samym sercu Zakopanego, rzut beretem od Krupówek, rozegrał się dramat rodzinny. 44-letni narkoman, finansowo przyspawany do matczynej emerytury, uznał, że proces dziedziczenia przebiega zbyt wolno. Po uciszeniu rodzicielki postanowił sprawdzić, czy grawitacja pod Giewontem działa. Wyskoczył przez okno. To smutna lekcja ekonomii domowej: gdy matka przestaje być wydajnym bankomatem, staje się dla syna zbędnym meblem. Prokuratura bada sprawę, choć finał jest przewidywalny jak kolejka na Kasprowy – on przeżył, ona nie, a jedynym realnie wygranym jest ZUS, który właśnie zaoszczędził na jednej emeryturze.

■ Na cmentarzu w Jastrzębiu Zdroju odnaleziono nową formę rodzinnego pochówku: zwłoki siedmiomiesięcznego płodu zapakowane w damską torebkę. Ta podręczna trumna spoczęła za nagrobkiem innego dziecka. Właścicielka torebki, 36-letnia koczowniczka bez stałego adresu, sama zgłosiła się do organów ścigania z wersją o samoistnym poronieniu. Sekcja zwłok ma rozstrzygnąć metafizyczny spór: czy to był tylko „materiał biologiczny" porzucony w krzakach, czy już obywatel, któremu państwo powinno było zapewnić coś więcej niż miejsce za pomnikiem.

■ Polski chirurg plastyczny Tomasz Kosowski udowodnił na Florydzie, że potrafi przeprowadzić zabieg ostateczny. Zamiast liftingu zafundował mecenasowi Cozziemu radykalną utylizację w biurowym kiblu, po czym wywiózł jego zwłoki na śmietnik jak zbędny odpad medyczny. Morderca bronił się sam. Najwyraźniej po zabiciu jednego adwokata trudno o branżową ufność i znalezienie chętnego do pomocy. To cenna lekcja dla palestry: nadgorliwość w reprezentowaniu klienta bywa śmiertelna, zwłaszcza gdy przeciwnik procesowy zamiast paragrafów woli używać skalpela.

■ Do Łodzi, miasta wiecznego remontu i demograficznej zapaści, sprowadzono legwanicę szlachetną. W tamtejszym zoo ma się parzyć z miejscowym samcem, by ratować gatunek, którego na świecie zostało ledwie kilkadziesiąt sztuk. Wybór miejsca jest genialny: w Łodzi każda nowa dusza, nawet pokryta łuskami, jest na wagę złota, a „szlachetność" jaszczurki będzie miłą odmianą w krajobrazie tamtejszych bram.

RJ

PS Redakcja niniejszym oświadcza, iż powyższe informacje zostały pozyskane z krajowych środków masowego przekazu i nie podlegały weryfikacji. W konsekwencji nie wyklucza się, iż zawierają one okoliczności całkowicie wyssane z palca. Czytelnik zapoznaje się z treścią na własne ryzyko, ze świadomością, iż ewentualna zbieżność z rzeczywistością może mieć charakter przypadkowy. Redakcja wyłącza odpowiedzialność za skutki uznania którejkolwiek z powyższych informacji za prawdziwą, z zastrzeżeniem bezwzględnie obowiązujących przepisów prawa.

eprasa.pl 10853f64ab

Interes właścicieli cmentarzy to interes państwa

Prochy ścisłego zarachowania

W Polsce można umrzeć, ale nie można zniknąć. Nawet jeżeli człowiek za życia nie potrzebował księdza, nie odwiedzał cmentarzy, nie wierzył w życie pozagrobowe i życzył sobie, żeby po śmierci jego prochy rozsypano nad morzem, w górach albo pod ulubionym drzewem, państwo zadba, aby po kremacji znalazł się w miejscu właściwym. Właściwym, czyli na cmentarzu. Najlepiej w urnie, którą ktoś za kasę umieści w grobie albo w specjalnej ścianie z przegródkami, zwanej kolumbarium, ponieważ łacińska nazwa niewątpliwie dodaje powagi czynności polegającej na wynajęciu małej półki. W przeciwnym razie jego bliscy mogą narazić się na grzywnę do 5 tys. zł albo areszt od pięciu do 30 dni. W państwie, w którym trudno wyegzekwować niejedną należność od żywego, pilnuje się więc, żeby zmarły nie wymknął się obowiązkowi zajęcia odpłatnego miejsca po śmierci.

Zwłoki równe i równiejsze

I nie chodzi o zakażenie gleby, zatrucie wód ani niebezpieczeństwo, że wiatr rozniesie po kraju śmiercionośne szczątki. Joanna Kujawa, naczelnik wydziału zdrowia środowiskowego w Departamencie Zdrowia Publicznego Ministerstwa Zdrowia, podczas senackich prac nad petycją dotyczącą zmiany przepisów stwierdziła w listopadzie 2025 r., że prochy pochodzące ze spopielenia zwłok nie stanowią zagrożenia epidemiologicznego. Urzędniczka resortu zdrowia pozbawiła przeciwników rozsypywania prochów argumentu, który najłatwiej byłoby przedstawić jako troskę o bezpieczeństwo obywateli. Nie ma zagrożenia epidemicznego, nie trzeba zatem ratować społeczeństwa przed prochami babci. Pozostaje pytanie, przed czym właściwie państwo chce społeczeństwo chronić. A może przed czym chce chronić cmentarze?

Odpowiedź tkwi w cenniku. Za udostępnienie miejsca, za pochówek, za korzystanie z infrastruktury, za zgodę na postawienie pomnika, za przedłużenie prawa do grobu.

Człowiek, którego prochy wiatr rozwieje po łące, nie potrzebuje bowiem niszy, nagrobka czy administratora, który za 20 lat przypomni rodzinie o kolejnej należności.

W Polsce mamy ok. 12,5 tys. cmentarzy, z czego komunalnych jest 2,8 tys. Pozostałe należą w znacznej części do Kościoła katolickiego, choć istnieją również nekropolie innych wyznań i inne formy własności. W budżecie Lublina na 2025 r. zapisano 4,9 mln zł dochodów z działalności cmentarnej, z czego 2,5 mln zł miało pochodzić z opłat za korzystanie z cmentarzy komunalnych i urządzeń cmentarnych, a 2,4 mln zł – z udostępniania nisz urnowych w kolumbarium. W Katowicach plan finansowy na 2026 r. przewiduje dla Katowickich Cmentarzy Komunalnych 7,458 mln zł przychodów, przy kosztach i innych obciążeniach wynoszących 7,457 mln zł. Olsztyński Zakład Cmentarzy Komunalnych miał według planu na 2025 r. osiągnąć niemal 6 mln zł przychodów. Nie są to oczywiście czyste zyski, ponieważ utrzymanie cmentarzy kosztuje, ale wielomilionowy obrót pokazuje skalę działalności, której część klientów korzysta z usług nie dlatego, że tego chce, lecz dlatego, że musi.

Na cmentarzach parafialnych ekonomia spotyka się dodatkowo z teologią, co bywa połączeniem szczególnie interesującym dla instytucji, która za życia przypomina wiernym o marności dóbr doczesnych, ale po śmierci wystawia rachunek. Publicznie dostępny cennik opłat pobieranych na rzecz parafii przewiduje między innymi 2,5 tys. zł za małe miejsce grzebalne, 4,5 tys. zł za duże i 6,5 tys. zł za miejsce położone przy głównej alejce. Zgoda na postawienie nagrobka na jednym miejscu kosztuje 500 zł, a opłata cmentarna przy pochówku w trumnie wynosi 1000 zł. Do tego dochodzą należności za przedłużenie korzystania z miejsca wynoszące 80 albo 90 zł rocznie. Kościół lubi mówić, że śmierć wszystkich zrównuje. Cennik parafialnego cmentarza przypomina, że nie wszystkich przy tej samej alejce.

Ekonomia rozsypania

Państwo każe korzystać z cmentarzy na podstawie ustawy z 1959 r., której znaczna część rozwiązań wywodzi się z przepisów z 1932 r. Minęły dziesięciolecia, zmieniły się granice, ustrój, gospodarka, medycyna i obyczaje, a człowiek nadal nie może zgodnie z własną wolą rozsypać po śmierci swoich prochów. Jakby ustawodawca uznał, że z całego dorobku Polski Ludowej właśnie administracyjna kontrola nad zawartością urny zasługuje na szczególną ochronę. W 2025 r. do senatu trafiła petycja postulująca dopuszczenie rozsypywania prochów w lasach, parkach, ogrodach pamięci i na określonych akwenach, umożliwienie pochówku poza cmentarzem oraz tworzenie cmentarzy leśnych. Komisja Petycji postanowiła wystąpić o opinie do kilku resortów. Aby ustalić, czy człowiek może rozsypać garść prochów w lesie, potrzebna jest współpraca kilku ministerstw, senatorów, ekspertów, prawników i urzędników. Trudno o lepszą ilustrację państwa, które potrafi zamienić najprostszą czynność w wieloletni problem międzyresortowy.

Wywodzący się z Lewicy wiceminister od rozwoju i technologii Tomasz Lewandowski przyznaje w mediach, że część urn znajdujących się dziś w kolumbariach może zawierać popiół z kominków, ponieważ prawdziwe prochy rodziny zatrzymały w domu albo rozsypały gdzie indziej. Widać państwo potrafi przymusić obywatela do wykupienia miejsca na cmentarzu, ale niekoniecznie chce ustalić, co w urnie rzeczywiście się znajduje. Ale gdyby rodzina bez udawania i bez opłacania fikcyjnego pochówku rozsypała prawdziwe prochy w lesie, naruszyłaby przepisy.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w 2024 r. oszacowało, że pogrzeb z kremacją i granitowym nagrobkiem kosztował od około 11,3 tys. zł w województwach podkarpackim i podlaskim do 13,3 tys. zł w łódzkim. Tradycyjny pogrzeb bez kremacji, ale z nagrobkiem, kosztował od 12,1 tys. do 14,3 tys. zł. Sam nagrobek potrafił pochłonąć niemal połowę kosztów. Tymczasem w opublikowanym w 2026 r. zestawieniu ofert zakładów pogrzebowych mediana ceny podstawowego pogrzebu z kremacją wynosiła 3550 zł, a kremacji połączonej z ceremonią – 5000 zł. Sama usługa spopielenia kosztowała w badanej próbie przeciętnie około 1000 zł, podstawowa urna – 350 zł, a lokalny transport – 475 zł. Nie wszystkie ceny obejmują ten sam zakres usług, ale pokazują, że rezygnacja z nagrobka, miejsca grzebalnego i rozbudowanej ceremonii może oznaczać oszczędność kilku tysięcy złotych.

Jeżeli porównać urzędowy koszt pogrzebu z kremacją i nagrobkiem na poziomie 11,3–13,3 tys. zł z ofertą podstawowego pogrzebu kremacyjnego za około 3550 zł, różnica wyniesie od 7750 do 9750 zł. Gdyby tylko 10 tys. rodzin rocznie wybrało rozsypanie prochów, a każda zaoszczędziła na usługach cmentarnych i innych zbędnych wydatkach 5 tys. zł, w ich kieszeniach pozostałoby 50 mln zł. To pokazuje, że wolność wyboru sposobu pochówku ma nader konkretny wymiar ekonomiczny.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Hipokryzja ostateczna

I właśnie tutaj na scenę wkracza znowu wiceminister Lewandowski, człowiek, który zdaje się rozumieć w grzebalnictwie niemal wszystko. Wie, że prochy nie zagrażają zdrowiu, że rozsypanie ich poza cmentarzem nie szkodzi środowisku. Wie nawet, że rodziny już dzisiaj obchodzą przepisy, przechowując prochy w domach i pozostawiając w kolumbariach urny z inną zawartością. Można by zatem oczekiwać, że zaproponuje krótką zmianę ustawy: prochy po kremacji wolno rozsypywać poza cmentarzem, z poszanowaniem cudzej własności i przepisów chroniących szczególne obszary, kropka. Zamiast tego wiceminister zastanawia się w mediach nad katalogiem miejsc wyłączonych, ewidencjonowaniem rozsypywania prochów i uzyskiwaniem zgody zarządcy terenu. A przede wszystkim chciałby, żeby samorządy decydowały, gdzie na ich obszarze wolno będzie prochy rozsypywać, a gdzie nie.

Wiceminister nie przedstawił gotowego przepisu nakazującego płacenie za zaświadczenie o rozsypaniu prochów ani nie podał stawki takiej opłaty. Można jednak zapytać, po co w ogóle otwierać drogę do kolejnych zgód i ewidencji, skoro sam projektodawca uznaje, że czynność nie szkodzi ludziom ani środowisku. Historia polskiej administracji podpowiada bowiem, że tam, gdzie pojawia się obowiązek uzyskania zgody, szybko pojawia się formularz, termin, pieczątka, a nierzadko również opłata.

Wiceminister chciałby również, aby w pasach izolacyjnych cmentarzy mogły powstawać kolumbaria, miejsca na ekologiczne urny oraz łąki i lasy pamięci. Obywatel mówi, że nie chce cmentarza, a państwo proponuje mu nową część cmentarza, tyle że porośniętą trawą. Cmentarna „łąka pamięci" wciąż jest łąką z administratorem, a korzystanie z takiego miejsca jest odpłatne. Otrzymujemy zatem płatne pożegnanie zmarłego na trawie, podczas gdy kilka kilometrów dalej rośnie trawa równie zielona, na której nie wolno tego zrobić za darmo.

40 proc. Polaków popiera rozsypywanie prochów poza cmentarzami, a 35 proc. – dopuszczenie przechowywania urn w domu. Śmierć odbiera człowiekowi wystarczająco dużo. Nie musi jeszcze odbierać mu prawa do ostatniej decyzji.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie W DOBROBYCIE

● Dobrobyt sięgnął wojska, albowiem po waloryzacji najwyższa emerytura wojskowa wynosi 45 005,49 zł brutto miesięcznie, a najniższa 1978,49 zł, więc przynajmniej w groszach wojsko zachowało równość. Tak wysokie wypłaty jak rekordowa trafiają do nielicznych, zwykle do oficerów wysokich stopni z długim stażem służby i wysokim uposażeniem. W marcu Wojskowe Biura Emerytalne wypłaciły świadczenia 114 069 osobom. Przeciętna emerytura wojskowa wyniosła 6865,58 zł brutto, a przeciętna z ZUS – 4442,87 zł. Wojskowa była więc wyższa o 54,5 proc., co przy tych samych stawkach dawałoby ponad 29 tys. zł brutto różnicy w ciągu roku. Biura wypłacały też rentę wdowią. W marcu pobierało ją 2149 osób, a przeciętna wypłata z tego tytułu wyniosła 536,57 zł. Żołnierzom powołanym po raz pierwszy przed 1 stycznia 2013 r. wystarczało co najmniej 15 lat służby do nabycia prawa do emerytury, a powołani od tego dnia potrzebują co najmniej 25 lat. Na granicy tych przepisów jeden dzień różnicy w dacie powołania oznacza więc 10 lat różnicy w wymaganym stażu. W 2025 r. na emeryturę przeszło 3700 żołnierzy, a według decyzji wydanych do marca 2026 r. – kolejnych 830. Jak się komu w wojsku powiodło, dowie się przy wypłacie: temu na dole tabeli uzbieranie jednej miesięcznej emerytury rekordzisty zajęłoby niemal 23 miesiące. Dobrobyt zameldował się w wojsku i najwyraźniej od razu dostał stopień oficerski.

● Ale żeby w Polsce coś od państwa dostać, trzeba najpierw narobić rabanu. Najlepiej ogólnokrajowego, z udziałem związków zawodowych i groźbami protestów. Tak właśnie zrobili mundurowi, którzy w grudniu 2024 r. rozpoczęli akcję protestacyjną. Rząd zawarł więc ze związkowcami porozumienie, którego jednym z elementów była obietnica wprowadzenia Karty Rodziny Mundurowej. Miała ona zapewnić funkcjonariuszom i ich rodzinom rozmaite przywileje. Związkowcy uznali, że to wystarczy, żeby protest zawiesić. I zawiesili. Dopiero 6 listopada sejm uchwalił odpowiednią ustawę i wiadomo, co mają dostać. Przede wszystkim 37-procentową ulgę na określone jednorazowe bilety kolejowe oraz 49-procentową na imienne bilety miesięczne. Dla funkcjonariusza, który do pracy jeździ samochodem, wartość tego przywileju wyniesie dokładnie zero złotych. Kolejnym dobrodziejstwem będą tańsze paszporty. Dorośli mają płacić za ich wydanie o 50 proc. mniej, a dzieci nawet o 75 proc. mniej. Tyle że paszportu nie wyrabia się co miesiąc. Atrakcyjniej wygląda przywilej dotyczący ochrony zdrowia. Posiadacze mundurowych uprawnień mają bowiem zyskać pierwszeństwo w korzystaniu z niektórych świadczeń medycznych w placówkach podlegających MSWiA oraz MON. Rodziny mundurowych mają również zyskać pierwszeństwo przy przyjmowaniu dzieci do publicznych przedszkoli w określonych sytuacjach związanych ze zmianą miejsca zamieszkania. Do tego dochodzą jeszcze zniżki na towary i usługi oferowane przez przedsiębiorców uczestniczących w programie. Nie wiadomo jednak, ile firm do niego przystąpi ani jakie rabaty zaoferują. Wszystkie te dobrodziejstwa wyglądają jeszcze ciekawiej, gdy przyjrzymy się strażakom ochotnikom. Bo oni też mają zostać objęci Kartą Rodziny Mundurowej. Program ma docelowo dotyczyć ponad 250 tys. strażaków-ratowników OSP uczestniczących w akcjach ratowniczych. Gdy doliczyć do nich członków rodzin, liczba potencjalnych beneficjentów przekracza 800 tys. osób. Ale ochotnicy nie rozpoczęli ogólnokrajowego protestu na wzór związkowców ze służb mundurowych, wiec dostaną 37-procentową ulgę na niektóre jednorazowe bilety kolejowe. Nie będą też mieli pierwszeństwa w korzystaniu z określonych świadczeń medycznych ani przy przyjmowaniu dzieci do przedszkoli. Zachowają natomiast ulgi paszportowe i możliwość korzystania z rabatów handlowych. Wychodzi więc na to, że związkowa walka nie musi przynosić szczególnie wiele, ale brak skutecznej walki o własne interesy może przynieść jeszcze mniej.

● Gorączka roszczeniowa trzyma Polaków mocno. Tak mocno, że nie wystarczają już dopłaty do mieszkań, samochodów, wakacji, dzieci, prądu i ogrzewania. Teraz przyszła kolej na żałobę. W lipcu do Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wpłynęła petycja, której autor zaproponował wprowadzenie płatnego urlopu żałobnego trwającego od trzech miesięcy do roku. W tym czasie człowiek, któremu umarł ktoś bliski, miałby nie pracować, tylko przeżywać stratę, zalewać się łzami i rwać szaty, oczywiście za pieniądze. Żeby jednak nie było, że autor petycji zamierzał tylko wysłać ludzi na wielomiesięczne zawodzenie nad grobami, to trzeba dodać, że pomyślał również o ich zdrowiu psychicznym. W postulatach znalazły się bowiem konsultacje psychologiczne i psychiatryczne. Nie wiadomo, kto miałby za te dobrodziejstwa płacić, ile osób mogłoby z nich korzystać ani według jakich kryteriów przyznawano by trzy miesiące, pół roku czy całe 12 miesięcy żałobnego urlopu. Obowiązujące dziś przepisy są znacznie mniej rozrzutne. Ich podstawą jest akt prawny mający ponad 30 lat, który stanowi, że pracodawca musi zwolnić pracownika na dwa dni w przypadku śmierci i pogrzebu jego małżonka, dziecka, ojca, matki, ojczyma lub macochy. Jeśli zaś umrze siostra, brat, teściowa, teść, babcia albo dziadek, wolnego jest tylko jeden dzień. Tyle samo przysługuje w razie śmierci osoby pozostającej na utrzymaniu pracownika lub pod jego bezpośrednią opieką. Żeby było ciekawiej, to samo rozporządzenie przyznaje dwa dni



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wolnego z okazji własnego ślubu oraz narodzin dziecka, a jeden dzień za ślub syna lub córki. Tymczasem autor lipcowej petycji chciałby, żeby żałoba stała się podstawą do znacznie dłuższego płatnego zwolnienia. Na szczęście ministerstwo nie dało się ponieść żałobnemu rozmachowi. Resort oznajmił, że „Aktualnie nie trwają i nie są planowane prace nad zmianami". Na razie więc Polacy nadal będą musieli radzić sobie ze stratą bliskich bez wielomiesięcznego płatnego urlopu. Bo choć żałoba może trwać całe życie, to rachunek za nią niekoniecznie musi płacić ktoś inny.

● Nauczyciele mogą przejść na emeryturę wcześniej niż pozostali pracujący, choć formalnie nie będzie to emerytura, tylko nauczycielskie świadczenie kompensacyjne. W 2026 r. jego przeciętna wysokość wynosi 4789,06 zł miesięcznie. Kobiety mogą pożegnać się ze szkołą już w wieku 56 lat, a mężczyźni po ukończeniu 61. Czyli o cztery lata wcześniej niż reszta Polaków. Wystarczy mieć 30 lat stażu pracy, w tym 20 lat przepracowanych jako nauczyciel w wymiarze co najmniej połowy obowiązkowego etatu pedagogicznego. Nauczycielskie świadczenie kompensacyjne jest wypłacane do osiągnięcia zwykłego wieku emerytalnego. Przy kwocie 4789,06 zł miesięcznie daje to 57 468,72 zł rocznie. Przez cztery lata prawie 230 tys. zł za niechodzenie do roboty, ale przed potrąceniem należnych podatków i składek. Tyle że wcześniejsze zakończenie pracy ma swoją cenę. Przez cztery lata nauczyciel nie będzie bowiem odprowadzał składek od pensji, a późniejsza emerytura będzie przez to znacznie niższa. Co ciekawe, wcześniejsze zakończenie pracy nie jest przywilejem zarezerwowanym wyłącznie dla nauczycieli szkół podstawowych i średnich. Uprawnienia obejmują także nauczycieli przedszkoli, placówek kształcenia ustawicznego, młodzieżowych ośrodków wychowawczych i socjoterapii, specjalnych ośrodków wychowawczych oraz poradni psychologiczno-pedagogicznych. Od 2026 r. katalog ten został jeszcze rozszerzony o placówki oświatowo-wychowawcze, centra kształcenia zawodowego i umiejętności, placówki artystyczne, biblioteki pedagogiczne, placówki doskonalenia nauczycieli, kolegia pracowników służb społecznych, okręgowe ośrodki wychowawcze, zakłady poprawcze i schroniska dla nieletnich. Wyobraźmy jednak sobie nauczycielkę, która w wieku 56 lat kończy pracę, a cztery lata później otrzymuje emeryturę w wysokości 3500 zł brutto. Jej koleżanka postanowiła pracować do sześćdziesiątki, dzięki czemu zgromadziła więcej składek i otrzymała emeryturę wynoszącą 4500 zł brutto. Dlatego każdy nauczyciel rozważający wcześniejsze zakończenie pracy powinien najpierw sprawdzić, ile wyniesie jego przyszła emerytura, jeśli skorzysta ze świadczenia kompensacyjnego, a ile mógłby dostawać, gdyby wciąż pracował.

TTJ

eprasa.pl 10853f64ab

Węgierska rewolta

Czym różnił się Budapeszt od Warszawy w 1956 r.

Minęła 70. rocznica powstania węgierskiego, krwawo stłumionego przez Armię Czerwoną. Cicho było o tej rocznicy, pamięć o niej przytłumiły wydarzenia i konflikty współczesności.

A jeszcze do niedawna rocznica węgierskiego dramatu służyła fałszerzom historii z firmy IPN do spychania w cień tradycji polskiego października. Kult heroicznej klęski przeciwstawiano sukcesowi polityki kontrolowanego oporu i negocjacji. Romantyzm polityczny – realizmowi.

Wpuszczeni w kanał

Powstanie węgierskie 1956 r. było bohaterskie, ale równocześnie beznadziejnie wyzbyte politycznej kalkulacji. Zostało zgniecione rosyjską nawałą – co jednocześnie zgubiło reformatorski i niepozbawiony szans rząd Imrego Nagya.

Polityka radziecka wobec zrewoltowanych Węgier była przez kilka miesięcy chwiejna. W Budapeszcie stale rezydowało dwóch członków radzieckiego kierownictwa: Michaił Susłow i Anastas Mikojan. Pierwszy reprezentował frakcję neostalinowską, drugi był sojusznikiem Chruszczowa.

Węgry, niedawny sojusznik Rzeszy hitlerowskiej, były pełne radzieckiego wojska. W tym krytycznym czasie to wojsko co raz to mieszało się do wewnętrznych spraw Węgier, strzelało do rewoltujących mas na prośbę różnych frakcji Węgierskiej Partii Pracujących, a chwilę później wycofywało się. W istocie siało to niepewność co do radzieckiej polityki i sprzyjało powstańczym złudzeniom. Sam Chruszczow też się wahał.

Obrzydliwie zachowywały się Stany Zjednoczone rządzone wtedy przez administrację Dwighta Eisenhowera. Węgierska sekcja Radia Wolna Europa, tuba amerykańskiej polityki, nawoływała do powstania, instruowała, jak konstruować koktajle Mołotowa, łudziła nadzieją na pomoc z Zachodu.

Natomiast władze z Waszyngtonu zapewniały Kreml, że pozostają wierne polityce Jałty. Sekretarz stanu John Foster Dulles oświadczał, że „Węgry nie są potencjalnym naszym sojusznikiem". Na kilka dni przed ostateczną interwencją wojskową ZSRR ambasador USA w Moskwie zapewniał gospodarzy o tym, że USA będą trzymać się z daleka od wydarzeń węgierskich. Priorytetem politycznym dla Stanów pozostawała wtedy strefa Kanału Sueskiego, który w lipcu 1956 r. został znacjonalizowany przez egipski rząd płk. Nassera. Wielka Brytania i Francja wraz z Izraelem wystąpiły zbrojnie przeciw Egiptowi. Stany Zjednoczone obawiały się, że w obronie Egiptu może wystąpić Związek Radziecki; ponadto ta interwencja mocarstw zachodnich zbyt przypominała dawne kolonialne wojny, którym USA były przeciwne. Dostrzegły też okazję, aby pozyskać Egipt i Arabów dla siebie. Zdecydowały się zatem wymusić na Wielkiej Brytanii i Francji wycofanie się z wojny. Wystarczył nacisk ekonomiczny, aby Londyn skapitulował; Paryżowi nie pozostało nic innego. Był to ostateczny koniec brytyjskiej mocarstwowości. Jednocześnie, żeby zapewnić sobie swobodną rękę w polityce bliskowschodniej, Amerykanie spisali na straty Węgry – zresztą nie zamierzali ani przez chwilę ryzykować starcia nuklearnego z Rosją. Wszystko sprzysięgało się przeciw węgierskiemu powstaniu, a wodzący nim rej studenci jakby tego nie dostrzegali. Imre Nagy chyba też nie.

Dramat rozegrał się w ciągu dwu tygodni. Pod koniec października wojska radzieckie wycofały się z Budapesztu, ale za niespełna tydzień wróciły w zwiększonej sile. I na bagnetach – czy raczej na lufach czołgów – wiozły nowy rząd Jánosa Kádára, który opuścił Nagya i przeszedł na radziecką stronę. Interwencyjne zgrupowanie liczyło blisko 60 tys. żołnierzy. Warto odnotować, że Polskę Chruszczow postraszył wówczas dwoma dywizjami – na znacznie mniejsze Węgry wysłał siły kilkakrotnie większe.

Walki trwały do 10 listopada. Zginęło około 2500 powstańców i cywili, rozbrojono ponad 30 tys. Aresztowano 20 tys., ponad 150 osób stracono w represyjnych procesach. 200 tys. opuściło Węgry, udając się przez Austrię na emigrację, w większości do Stanów Zjednoczonych. Zwycięskie władze przez kilka tygodni nie utrudniały wyjazdów, z Budapesztu codziennie odchodziły do Wiednia pełne pociągi. Najwyraźniej zdecydowano się na taki sposób pozbycia się najbardziej radykalnego powstańczego żywiołu.

Stracone złudzenia

20 lat temu ukazała się w języku polskim najwybitniejsza – jak sądzę – monografia węgierskiego powstania: „Stracone złudzenia" pióra Charlesa Gatiego. 92-letni dziś autor aktywnie uczestniczył w węgierskim powstaniu, po jego klęsce emigrował i zrobił naukową karierę w Ameryce, był profesorem czołowych amerykańskich uczelni, uniwersytetów Columbia i Hopkinsa, posiada ogromny dorobek naukowy – obejmujący zresztą także polonica, zwłaszcza świetną biografię polityczną Zbigniewa Brzezińskiego („Strateg i mąż stanu"). Uczestniczył w konferencji naukowej, jaka odbyła się w Warszawie w 50-lecie października. Miałem zaszczyt z nim rozmawiać, zrecenzowałem jego „Stracone złudzenia" na użytek tej konferencji. Niestety, ta wybitna i ważna praca nie znalazła wówczas należytego rozgłosu – zbyt odbiegała od rozpowszechnionych w Polsce poglądów na węgierskie wydarzenia. Warto zatem po latach, choć w skrócie, przypomnieć jej najważniejsze ustalenia.

Odwołam się częściowo do wspomnianej recenzji. Charles Gati z pietyzmem złożył hołd bohaterom i ofiarom węgierskiego zrywu wyzwoleńczego, a jednocześnie w analizie i ocenie wydarzeń zachował naukowy dystans i poznawczy krytycyzm najwyższej próby. Jego dzieło nie ma nic wspólnego z typowymi dla naszych czasów kombatanckimi powiastkami „ku czci", ale też świadczy o prawdziwym szacunku dla przeszłości, dla jej dokonań i doświadczeń.

Powstanie węgierskie zostało zdławione przez armię radziecką, jakby w repetycji dramatu 1849 r., kiedy to wojska cesarstwa rosyjskiego dowodzone przez feldmarszałka Iwana Paskiewicza, „kniazia warszawskawo" i „grafa jerywanskawo", pomaszerowały za Karpaty i „uśmierzyły" powstanie węgierskie. Gati dowodzi, że w 1956 r. mogło być inaczej – że los Węgier nie był z góry przesądzony, tylko wiele szans nie zostało wykorzystanych.

Już wspominałem o chwiejności radzieckiej polityki w kwestii węgierskiej. Gati analizuje to obszernie i wnikliwie. Radziecki postalinowski zespół przywódczy, uwikłany w wewnętrzne rywalizacje i walki sukcesyjne, w połowie lat 50. – według niego – w ogóle nie miał wobec państw zwasalizowanych skrystalizowanej polityki. Oczywiści bronił zdecydowanie imperium, ale też odczuwał potrzebę dostosowania się do nowych warunków, do innego już etapu zimnej wojny. W konfrontacji z węgierskim kryzysem szefowie Kremla nie od razu nastawiali się na brutalną interwencję, nie wykluczali eksperymentowania i ustępstw. Imre Nagy, wyrastający na przywódcę sił reformatorskich i narodowych, początkowo cieszył się ich zaufaniem. Szanse Węgier zwiększało też ich położenie na uboczu od głównej linii radzieckich interesów strategicznych i na styku z titowską Jugosławią, z którą ZSRR właśnie normalizował swoje stosunki, dramatycznie zaostrzone w czasach stalinizmu.

Zacytujmy opinię Gatiego: „Ukształtowany przez Stalina model relacji z tak zwanymi sojusznikami skończył się niepowodzeniem, ponieważ polityczne i ekonomiczne jego koszty były ogromne. [...] Podobnie jak terror wewnętrzny paraliżował funkcjonowanie elit, także stalinowska dominacja nad innymi krajami komunistycznymi stała się ciężarem. A zatem zmiany były konieczne. Powinny one jednak wydawać się skromne i niepozorne, by nie naruszyć delikatnej równowagi sił w sowieckiej polityce. Gdyby w ciągu kilku lat wojska sowieckie wycofały się z Węgier, kraj mógłby ewoluować w tę stronę, co gomułkowska Polska lub titowska Jugosławia... Węgry jednak nie chciały być drugą Polską... Imre Nagy nie był Gomułką, kardynał Mindszenty nie był Wyszyńskim, a redakcją Węgierską RWE nie kierował Nowak. 30 października komuniści węgierscy nie rządzili swoim państwem... Dwa wydarzenia tego dnia w Budapeszcie – dokonany rano na placu Republiki lincz na funkcjonariuszach komitetu budapeszteńskiego partii i urzędu bezpieczeństwa oraz popołudniowa deklaracja powrotu do systemu wielopartyjnego – najwyraźniej przekonały Chruszczowa, że Nagy i inni tamtejsi komuniści są zbyt słabi, by utrzymać porządek".

Spójność versus sprawność

Charles Gati wnikliwie zwraca uwagę na to, że Kreml w swej polityce wobec państw socjalistycznych brał pod uwagę dwa różne kryteria: zarówno dbał o „spójność bloku", jak też liczył się ze „sprawnością reżimu". Łatwiej tolerował nawet znaczne odrębności ustrojowe i dysydencje polityczne, jeśli rządzące komunistyczne partie mocno trzymały w ręku ster rządów. Na ostatecznym stanowisku radzieckim wobec kryzysu węgierskiego zaważył – jak pisze – również „głęboko zakorzeniony w rosyjskiej kulturze politycznej strach przed rozruchami i zamieszkami".

Ważkie przyczyny niewykorzystania szans powstania węgierskiego Gati dostrzega więc w słabościach koncepcyjnych i pragmatycznych węgierskich aktorów sceny politycznej – przede wszystkim w nieobecności „Realpolitik". W kręgach kierowniczych rządzącej partii przeważała orientacja neostalinowska i nadzieja na opanowanie społecznego poruszenia siłą – i to radziecką. Frakcja reformatorska natomiast była słaba, doszła do władzy za późno i przez kilka kluczowych dni nie umiała ani skrystalizować swego stanowiska, ani zdyscyplinować swych zwolenników i sojuszników. Powstanie zbrojne wybuchło żywiołowo i rozwijało się niejako obok nowego, już reformatorskiego rządu Imrego Nagya. Pozbawione jednolitego kierownictwa zachowało żywiołowy charakter i formułowało spontanicznie – a częściowo pod wpływem RWE – żądania maksymalistyczne i pozbawione realizmu. Ruch miał rozmach i ideowe oblicze narodowego powstania, ale w organizacyjnych i politycznych formach nie wyszedł poza ramy potężnej ludowej rewolty. Nieprzypadkowo chyba w tytule swej książki Gati użył tego określenia: „1956 Hungarian Revolt" – co w polskim wydaniu przełożono niezbyt ściśle, lecz bardziej poprawnie politycznie jako „powstanie".

Praca Gatiego jest wielką zachętą do niemodnych obecnie studiów porównawczych w zakresie historii bloku radzieckiego. Panuje prawie niepodzielnie antykomunistyczna propagandowa skłonność do generalizacji. Wszystko wrzuca się do jednego „totalitarnego" worka. Tymczasem właśnie w 1956 r. uderza odmienność sytuacji Węgier i Polski. W Polsce inicjatywa wykorzystania pomyślnych okoliczności geopolitycznych dla zmniejszenia zależności od ZSRR i modernizacji oraz liberalizacji systemu wyszła z szeregów rządzącej partii. Wyłoniła się w niej potężna frakcja reformatorska, która w mniejszym lub większym stopniu utrzymała kontrolę wydarzeń, nawet w okresie silnego wzburzenia społecznego. Ulica nie rządziła tym procesem. Zaskakująco silne okazało się myślenie w kategoriach realizmu politycznego. Mierzono zamiary na siły i szanse.

Być może, iż ten realizm brał się też z traumy po dramacie powstania warszawskiego – wydaje się jednak, że w grę wchodziły również różnice głębsze, nie tylko sytuacyjne, związane z kryzysem 1956 r.

Gomułka i głupcy

Ze źródłowo udokumentowanego opisu Charlesa Gatiego wynika, że węgierska partia komunistyczna zarządzana była z Kremla prawie bezpośrednio, jak w kraju inkorporowanym. Szefów tej partii wzywano na odprawy, besztano, dyktowano decyzje personalne. Jeszcze w lipcu 1956 r. Anastas Mikojan osobiście rekomendował komitetowi centralnemu węgierskiej partii kandydaturę Ernö Gerö na stanowiska pierwszego sekretarza. W przypadku Polski było to niemożliwe już od lata 1945 r., czyli od zakończenia wojny i powstania TRJN.

Brutalne pobesztanie Bieruta przez Stalina w październiku 1944 r. nigdy się nie powtórzyło. Owszem, kierownictwo PPR i później PZPR jeździło do Moskwy „po rady" generalissimusa, ale nie traktowało ich jak rozkazów i też nie zawsze się do nich stosowało. Wbrew Stalinowi przeprowadzono nieudane i brutalnie sfałszowane referendum w 1946 r., inaczej niż on sugerował rozegrano wybory 1947 r. Nie posłuchano „rady", aby funkcję premiera powierzyć Oskarowi Langemu. Wbrew opinii Stalina utworzono Ministerstwo Ziem Odzyskanych i szefostwo tego resortu powierzono Gomułce.

Przesiadywanie radzieckich przywódców w naszej stolicy i bezpośrednie sterowanie miejscowymi sprawami były nie do pomyślenia nawet w okresie stalinowskim. Wyjątkowy przypadek pojawienia się Chruszczowa na obradach Komitetu Centralnego PZPR (VI plenum KC, 20 marca 1956 r.) zakończył się awanturą z salą i opuszczeniem przezeń posiedzenia.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zastanawiając się nad odmiennym zachowaniem Kremla wobec Polski i Węgier, nie można oprzeć się wrażeniu, że wiąże się to z II wojną światową i jej zakończeniem. Węgry były państwem pokonanym, okupowanym i zarządzanym przez Związek Radziecki. Mimo zawarcia w 1947 r. traktatu pokojowego, wiele z tego pozostało. Polska była państwem sojuszniczym i nawet zwasalizowana miała inną, mocniejszą pozycję.

Niejako na marginesie książki Gatiego godzi się przypomnieć stosunek Władysława Gomułki do dramatycznego finału powstania węgierskiego i losu Imrego Nagya. O zamiarze interwencji zbrojnej dowiedział się od Chruszczowa w czasie krótkiego spotkania na granicy, 1 listopada. Przyjął to do wiadomości, ale podtrzymał zasadnicze stanowisko, że interwencja obcych wojsk „jest złem" w każdych warunkach. Obawiał się przede wszystkim o los Polski. Grupie dziennikarzy którzy – na czele z Ireną Tarłowską – wdarli się 4 listopada do jego gabinetu i domagali się zdecydowanego potępienia radzieckiej interwencji oświadczył: „Wy chcecie, abym ratował Węgry i zgubił Polskę, a ja tego nie zrobię. Jesteście głupcy!". W odróżnieniu jednak od Tity, który pomógł władzom radzieckim w oszukańczym ujęciu Nagya i współtowarzyszy, Gomułka przez wiele miesięcy podejmował – jako jedyny przywódca państwowy w bloku radzieckim – zabiegi o uratowanie życia węgierskiego premiera. Interweniował dwukrotnie bezpośrednio u Chruszczowa, także wielokrotnie kanałami dyplomatycznymi u Kádára. Niestety, bezskutecznie. Wyrokiem i egzekucją Nagya w czerwcu 1958 r. był zaskoczony. Przez 10 dni zwlekał, zanim zdecydował się przyjąć do wiadomości fakt dokonany.

ANDRZEJ WERBLAN

eprasa.pl 10853f64ab

G20+1=0

O czym mówią, o czym milczą

Strażnicy globalizacji na sposób amerykański spotkają się w połowie grudnia br. w Miami na Florydzie. Do stałych uczestników w roli paprotki dołączy polski kataryniarz bez katarynki, czyli aktualny prezydent kraju. A także rządowi pielęgniarze „wartości europejskich", którym zagrażają wartości azjatyckie.

Powstaje pytanie, dlaczego nie przynoszą praktycznie żadnych postępów kolejne akademie ONZ w sprawie klimatu (COP31). Aktualna odbywa się w tureckiej Antalyi. A także dlaczego wciąż powstają „wielkie narracje" o lepszej przyszłości kapitalizmu. Generuje je Międzynarodówka Davos. Od tych zbawców świata pochodzą „zwięzłe analizy predykcyjne" o czwartej rewolucji przemysłowej, o rewolucji biotechnologicznej, o inkluzywnym kapitalizmie. Słowem, o „zielonym stylu życia" dzięki inteligentnemu, sprawiedliwemu i globalnemu wzrostowi gospodarczemu. Czy uczestnicy akademii na Florydzie mogą uczynić jakiś krok w tym kierunku?

Jest jedno ale. Naukowcy i przedsiębiorcy, którzy mieliby wdrażać nowe technologie, „potrzebują rządu, wsparcia sektora publicznego, rozliczania i nadzoru" – prawi apostoł największej wielkiej narracji Klaus Schwab. Dlatego np., żeby ocalić oligarchię finansową podczas kryzysu 2007/2008, państwa musiały przeznaczyć według różnych szacunków około 20 bln dol. Jak zawsze pochodziły one od „podatników", bo korporacyjne zyski rezydują w rajach podatkowych. Dotykamy w tym miejscu istoty systemu. Doszło w nim do rozwodu między gospodarką a polityką (państwem). Wyborcy tylko wybierają, resztą zajmują się „pracowici i myślący": biznesmeni i politycy łącznie.

Powstaje pytanie, czy politycy, którzy zdobyli władzę wskutek różnorodnych technik urabiania opinii – a w istocie jako reprezentanci właścicieli kapitału portfelowego – są w stanie sprostać zadaniu przebudowy obecnego ładu światowego? Czy gremium przedstawicieli państw reprezentujących swoich „narodowych" przedsiębiorców z globalnym odchyleniem – spowoduje wyhamowanie wzrostu gospodarczego i zainicjuje konieczne reformy obecnego wariantu kapitalizmu?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sztuczna inteligencja kontra atomy

Po pierwsze: czy zastanowią się nad dalszymi skutkami wolnej przedsiębiorczości? Powinna ich skłonić do myślenia obserwacja ulic we Francji, Belgii, Hiszpanii itd., ale też lektura manifestów o zagrożeniach sztucznej inteligencji: encykliki papieża Leona XIV, manifestu lidera amerykańskiego demokratycznego socjalizmu Berniego Sandersa czy szefa czołowej korporacji współtworzącej potęgę AI Dario Amodei. Wszyscy oni każą przyjrzeć się dokładnie dotychczasowym mechanizmom funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej. Np. korporacja Palantir Technologies opracowała technologię, w której człowiek stał się tylko „sygnaturą danych", a śmiercią „niewygodnych" zarządzają algorytmy. A przecież w kolejce czeka autonomizacja pola walki. I wówczas to sztuczna inteligencja będzie kierować nie tylko dronami, jak obecnie. Czekają autonomiczne czołgi, później samoloty i lotniskowce, w końcu – broń atomowa.

Po drugie: czy przez ich lojalność wobec kalifornijskich doliniarzy są w stanie pojąć, że filarami cywilizacji są wciąż atomy? One bowiem tworzą materialne filary naszej egzystencji: stal, beton, amoniak, masy plastyczne. Dlatego czesko-kanadyjski analityk związków cywilizacji i energii Vaclav Smil orzeka, że „dopóki wszystkie rodzaje energii używanej do wydobywania i przetwarzania materiałów nie będą pochodzić ze źródeł odnawialnych, nowoczesna cywilizacja pozostanie fundamentalnie zależna od paliw kopalnych, wykorzystywanych do zapewnienia tych niezbędnych wskaźników. Nie zmieni tego ani sztuczna inteligencja, ani najnowsze aplikacje, ani elektroniczne komunikatory". Zbrojenia, militaryzacja, rewolucja cyfrowa stanowią tylko kolejną zapadkę w mechanizmie postępu technicznego, który sprzężony jest z wiedzą o przyrodzie. W rezultacie potrzebujemy coraz więcej wiedzy, żeby podtrzymać egzystencję ludzkiej populacji. Historyczną ilustracją jest postęp w produkcji żywności. Bez mechanizacji i agrochemii wielkość populacji ludzkiej nie przekraczała miliarda (do około 1820 r.). Wprowadzenie innowacji w uprawie roli oraz powiększenie areału upraw (amerykańskie równiny, argentyńska pampa, dolina rzeki Murray w Australii) pozwalają przeżyć na planecie ośmiu miliardom (choć miliard wciąż głoduje). Ale za cenę poświęcania 10 kalorii energii na 1 kalorię żywności. Na dodatek kurczy się las wilgotny, wycinany pod uprawę soi, awokado czy oleju palmowego. Tracimy każdego roku miliony hektarów żyznej ziemi. Przekształcamy więc coraz więcej paliw kopalnych na chleb i fabryczne kurczaki. I nie możemy się już cofnąć! Dlatego pojawia się w „agendzie" planowanie, nadzór nad wykorzystaniem energii i minerałów, i przede wszystkim idea dewzrostu jako wyjście ze strukturalnego kryzysu coraz bardziej barbarzyńskiego kapitalizmu.

Produkty wolnego świata

Po trzecie: czy potrafią zastąpić dolara w roli waluty rezerwowej koszykiem innych walut? Amerykański prezydent nie może już powiedzieć „nasza waluta – wasz problem". Zastąpienie systemu Bretton Woods dolarem doprowadza do nierównowagi w bilansie obrotów bieżących i w rachunku finansowym między Stanami Zjednoczonymi a resztą świata. Stany dawno temu utraciły pozycję największego wierzyciela świata. Minęły także czasy, kiedy w tym kraju produkowano połowę masy towarowej krążącej po globie. Metoda ochrony celnej sprawdziła się w XIX stuleciu, kiedy dopiero raczkował ich nowoczesny przemysł. I wtedy węgiel, ropa, żyzne ziemie dawały przewagę konkurencyjną. Teraz po deindustrializacji, kiedy na miejscu jest tylko gaz łupkowy, to Stany stały się czarną dziurą kapitalistycznej cywilizacji. Większość obywateli tego kraju odczuwa boleśnie społeczną degradację – w przeciwieństwie do przywódcy-biznesmena.

Po czwarte:

czy przestaną posługiwać się dla ratowania systemu militarnym keynesizmem – czyli przepalaniem energii i minerałów na nikomu niepotrzebny złom? Głównie po to, żeby podtrzymać koniunkturę. Jest on kosztowny nie tylko dla jakości życia, ale również ekologicznie.

Koszt rocznej eksploatacji kupionego za około 100 mln dol. F-35 mieści się w granicach od 9 do 12 mln dol. Sam godzinny lot „przepala" 40 tys. dol. W Europie narasta bunt płacących za zastępowanie samochodów dronami i rakietami – acz to problem odczuwalny na wszystkich kontynentach: od Ameryki Łacińskiej po Azję Południowo-Wschodnią. W Europie na porządku dnia stanął problem przebudowy neoliberalnej polityki i struktury instytucjonalnej UE, w tym głównie systemu zarządzania i EBC. Niedługo strach przed Putinem przestanie jednoczyć Europejczyków.

I po piąte: czy obradujący znajdą sposób, by wymusić na właścicielach i dysponentach portfeli inwestycyjnych, żeby wzięli też pod uwagę elementarne potrzeby ludzkości? A one, niestety, są nierentowne, podobnie jak większość usług – łącznie z tymi, które obejmują potrzeby ochrony zdrowia, edukacji, zapewnienia godnej starości. Nie mówiąc o potrzebach biosfery. Czy maszyny kierowane teraz przez AI pożrą nas i pozostałe gatunki?

Tym bardziej że bez odpowiedzi pozostaje pytanie: kto kupi rosnącą masę towarów? Coraz większa część wartości dodatkowej nie jest inwestowana. Musi trafiać na rynki finansowe i przekształcać się w różne produkty: kredyty, opcje, lokaty terminowe, teraz centra danych. One bowiem pozwalają zapełnić pustkę depresyjnej egzystencji tych, którzy według zaleceń mistrzów well-being budują osobistą markę, by wykorzystać swój potencjał. Zapełnić pustkę egzystencji grami, serialami, rolkami, zabawami ze sztuczną inteligencją. I każdy fejsbuc, i każdy januszex musi teraz podłączyć się do usług sieciowych kalifornijskiego big techu.

System i jego peryferie

Dlatego poza salą obrad będzie trwał zwyczajny kapitalizm wolnej przedsiębiorczości – obecnie w formie kapitalizmu sieci, kapitalizmu cyfrowego. Jest on ukoronowaniem kalifornijskiej ideologii, w myśl której zamiast głębokich reform rujnującego planetę wzrostu gospodarczego będziemy mieli postępy technologii.

Ale rzeczywistość jest taka, że im dłużej trwa neoliberalny, sfinansjerowany reżim akumulacji, tym szybciej narastają sprzeczności systemu. Coraz trudniej bowiem o akumulację (rentowność) kapitału oraz o rynki zbytu, skoro maleje udział płac w PKB. A to skutek wyhamowania wzrostu płac w USA, obniżki podatków dla biznesu w następstwie takich reform jak Agenda 2010 w Niemczech. Tani chleb i gadżety to również efekt eksploatacji taniej pracy 160 mln chińskich chłoporobotników czy rozwożących pizzę kurierów. Ich pracą zarządza zdalnie algorytm – ten nowoczesny niewidzialny szef.

Nie ustanie w tej sytuacji zajadła rywalizacja między korporacjami: amerykańskimi, europejskimi czy azjatyckimi, głównie chińskimi i koreańskimi. Ta rywalizacja prowadzi do nowych fal inwestycji: „nowa gospodarka", energetyka solarna czy wiatrowa, samochody elektryczne, przemysł sztucznej inteligencji…. Jednak wszystkie one nadal wymagają energii z węglowodorów, wymagają minerałów, a produkcja żywności nawozów, także z gazu ziemnego. Tylko w inne miejsca przemieszczają się koszty ekologiczne przemysłów i pomysłów na akumulację. Czekają na eksploatację dno oceanów, Arktyka, platynowce z planet.

Będzie jak zawsze w demokracji liberalnej. Słowa, miny i pozy posłużą do wyłudzania głosów wyborczych od odmóżdżonych, ogłupionych socjotechnikami strachu przed Czyngis-chamem, przed „wielką wymianą", przed ekoterroryzmem, przed elgiebetami i nachodźcami. Ułomny pomiar aktywności gospodarczej, jakim jest PKB, umieścił w tym gronie prezydenta krainy Największej Maryi w Europie – Hetmanki Narodu. Tylko o czym może rozstrzygać reprezentant peryferii, w której połowa obrotu handlowego z zagranicą to wymiana między korporacjami gości a ich polskimi montowniami; kiedy sektor finansowy jest w dwóch trzecich w rękach zagranicznego kapitału; kiedy zysków korporacji fiskus nie tyka, a bogaci lokalsi mogą uciec w ryczałt albo założyć fundację rodzinną… Kolejne qui pro quo.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Rzecz o cesarzu krzemowym

Przez łóżko do polityki, przez skandal z powrotem na tron

Historia zdaje się czasem kpić z ludzi potężnych. Nie są to jednak kpiny przesadnie wyrafinowane. Napoleon poległ starciu z zimą, bankierów powalała chciwość, a Jensena Huanga – współtwórcę technologicznej potęgi współczesności – przerósł skandal obyczajowy. Warto jednak dodać, że to, co przyniosło mu problemy, było też jego wielkim sukcesem.

Huang nie jest standardowym dyrektorem korporacji. Od kiedy powstała Nvidia, czyli w 1993 r., żył jako jej personifikacja. W ostatnich latach odgrywa także rolę symbolu rewolucji AI. Nvidia dostarcza układy niezbędne do napędzania najbardziej zaawansowanych modeli sztucznej inteligencji. Jej szef jest więc nie tylko przemysłowcem, ale też uczestnikiem wielkiej polityki. Tu zaczyna się interesująca nas historia.

Z końcem października 2026 r. „New York Times" opisał bliską relację Huanga z inną Huang – Alice, związaną z singapurską firmą Megaspeed. Sprawa stała się szczególnie gorąca, ponieważ służby amerykańskie podejrzewały kobietę o związki z chińskim wywiadem. Romans, rzecz stara jak nasz gatunek, został ściśnięty przez koła młyńskie dwóch gospodarczych potęg.

Trzeba jednak poczynić pewne zastrzeżenie: podejrzenie nie jest dowodem. Nie wykazano publicznie, że Alice w istocie pracuje na rzecz chińskiego wywiadu ani że Jensen przekazał jej tajemnice Nvidii. Singapurskie postępowanie dotyczące Megaspeed dotyczyło podejrzeń o nieprawidłowości handlowe, nie szpiegostwa. Alice otrzymała formalne ostrzeżenie za podawanie niezgodnych z prawdą informacji śledczym i zakaz ponownego wjazdu do kraju. Tych faktów nie sposób uczciwie skleić w jeden zarzut. Życie i tak zatroszczyło się jednak o dramaturgię.

8 listopada szef Nvidii przyznał, że nie dochował wierności żonie. Pokajał się przed rodziną, współpracownikami i akcjonariuszami. Tego samego dnia rada dyrektorów Nvidii wszczęła niezależne dochodzenie w związku z doniesieniami o możliwej akcji obcego wywiadu, jednocześnie deklarując zaufanie do prezesa. Warto tę okoliczność zapamiętać. W wielkich korporacjach deklaracja zaufania bywa czymś wielce uroczystym, ale niekoniecznie trwałym.

Trzy dni później „New York Times" opublikował kolejną sensację. Tym razem chodziło o domniemaną relację Huanga z podlegającą mu służbowo Kimberly Powell. Informatorzy gazety wspominali o nagraniu z hotelu San Jose, lecz redakcja sama go nie widziała. Ważniejszy był problem zależności służbowej: relacja przełożonego z podwładną nie jest już sprawą wyłącznie sypialnianą.

11 listopada rada przyjęła rezygnację Huanga, a nazajutrz ogłosiła ją szerokiej publiczności. Tymczasowe kierownictwo przejęła dyrektor finansowa Colette Press. Nie podano, co przesądziło o decyzji. Wiemy natomiast, że człowiek, któremu rada dopiero co okazała zaufanie, po trzech dniach przestał kierować jednym z najważniejszych przedsiębiorstw na Ziemi. Mówi nam to coś o współczesnej władzy gospodarczej. Przemysłowiec odpowiada nie tylko przed właścicielami kapitału, lecz również przed służbami, politykami

eprasa.pl 10853f64ab

Tego nie dowiedzieliście się o spotkaniu w Shenzhen

Na trzeciego



Nie tak dawno, bo w dniach 18–19 listopada, odbyło się w chińskim mieście Shenzhen Forum Współpracy Gospodarczej Azji i Pacyfiku. Znane pod skrótem APEC. Wyjątkowo, jak na chińskie wydarzenie, forum było powszechnie komentowane we wszystkich polskich mediach.

Bo okrzyknięto je Jałtą 2. Bo podczas forum zaplanowano spotkanie prezydentów Chin, Rosji i USA. Budziło to wielka grozę wśród odbiorców polskich mediów. Ich strach skutecznie pobudzał internetowe algorytmy. Nic dziwnego, że owa Jałta 2 przez kilka dni królowała na czołówkach serwisów informatycznych. Była bohaterką komentarzy „znawców problemu".

Nic dwa razy

Każdy, kto liznął choć historię, powinien wiedzieć, że w lutym 1945 r. w Jałcie spotkali się trzej przywódcy reprezentujących ówczesny „kolektywny Zachód". Związani sojuszem wojskowym i wojną na frontach całego świata. Państw wówczas bezsprzecznie zwycięskich. Posiadających mandat do decydowania o losie pokonanych i reszty świata.

Rozmawiający w Shenzhen przywódcy żadnej wojny światowej wspólnie nie wygrali. Prezydent Putin ugrzązł w trwającej od 12 lat wojnie w Ukrainie. Nie obalił władz w Kijowie, nie zmusił Ukraińców do zmiany ich kursu geopolitycznego.

Prezydent Trump doprowadził do kryzysu w światowej gospodarce, amerykańskiej też, decydując się na „małą, zwycięską wojenkę" z Iranem. Reżim w Teheranie przetrwał i teraz stawia Trumpowi warunki, blokując cieśninę Ormuz. Niebawem prezydent Trump będzie musiał podzielić się władzą z Kongresem i rozpaczliwie szukać sposobu wycofania się z wojny. Chiński przywódca Xi nie wdał się w niepotrzebną Chinom wojnę. Ale długotrwałe wojny na Bliskim Wschodzie i na Ukrainie mogą zaszkodzić chińskim planom rozwojowym. Chińska gospodarka bazuje na imporcie surowców i eksporcie swych produktów. Zaburzenia szlaków komunikacyjnych i spowolnienia gospodarcze konsumentów chińskich towarów już hamują plany rozwojowe Pekinu.

Prawdą jest, że prezydenci Trump, Putin i Xi krytykują obecny ład międzynarodowy i deklarują, że chcą go zmienić. Na tym ich jedność się kończy. Putin chce szybko ten ład rozwalić, ale nie ma mocy sprawczej. Trump ma moc, lecz nie chce jej użyć. Woli nią pohandlować. Xi pragnie zmiany, ale w chińskim stylu. Ewolucyjnie. Rozwałka w putinowskim stylu grozi międzynarodowym chaosem, a tego żaden chiński polityk nie chce. Podczas konferencji prasowej korespondent rosyjskiej gazety „Kommiersant" zapytał prezydenta Putina, czy sądzi, że bierze udział w Jałcie 2. Rosyjski przywódca pokiwał akceptująco głową i zaraz potem chińskie służby porządkowe uprzejmie wyprowadziły rosyjskiego dziennikarza z sali.

Tak to samowolnie przez Rosjan rozpoczętą, nieuzgodnioną z gospodarzami debatę o Jałcie 2 skutecznie w Shenzhen zakończono.

Kto co zyskał

Prezydent Putin wrócił ze „spotkania G3" bogatszy w pamiątkową fotkę z przywódcami dwóch światowych mocarstw.

Jego piarowcy mogą przekonywać patriotyczny rosyjski lud, że ich prezydent dalej jest w trójce światowych mocarzy. Jak kiedyś Stalin.

Zapewne nie oglądają oni niezwykle popularnego w chińskim internecie filmiku. Pokazującego, jak Putin, ustawiający się przy boku Xi na potrzeby innej fotki, zostaje uprzejmie i skutecznie przesunięty na bok. I ustawiony obok pani Peng Liyuan. Małżonki prezydenta Xi.

Chińscy internauci kpili, że tak to prezydent Putin awansował do roli drugiej żony Xi. Pewnie z tradycyjnej chińskiej grzeczności nie dodawali, iż w czasach chińskiej poligamii pierwsza żona zwykle zarządzała domem, a zadaniem drugiej było dostarczanie rozrywek mężowi.

Wrócił też prezydent Putin z dwoma nagrodami pocieszenia. Jego dwaj senior partnerzy skrytykowali działalność Międzynarodowego Trybunału Karnego. Rosja i USA podpisały Statut Rzymski, ale go nie ratyfikowały. Chiny od początku ignorują MTK w Hadze. Strach przed aresztowaniem zmusił Putina do rezygnacji z udziału w kilku szczytach BRICS i G20. Teraz przywódcy dwóch mocarstw wysłali sygnał do swych sojuszników, aby nie blokowali już Putinowi jego aktywności międzynarodowej. Ale wartość nagrody zależeć będzie od aktualnej woli sojuszników.

Prezydent Trump nazwał Putina swym przyjacielem. To wielce oburzyło polskich polityków i komentatorów. A przecież Trump nieraz dowiódł swego pustosłowia. Poza tym prezydent prezydent Franklin D. Roosevelt publicznie nazywał Stalina dobrym wujkiem Joe i jednocześnie potajemnie patronował budowie bomby atomowej. Skierowanej też przeciwko ZSRR.

Prezydent Putin potwierdził w Shenzhen rosnącą zależność Rosji od Chin. Przed pełną inwazją na Ukrainę, w 2022 r., głównym partnerem handlowym Rosji była Unia Europejska, na jej państwa członkowskie przypadało ponad 35 proc. całego rosyjskiego handlu. Chiny miały 17 proc. rosyjskiej wymiany handlowej. Po pięciu latach tej wojny prawie 40 proc. wszystkich importowanych przez Rosję towarów, technologii i usług pochodziło z Chin. Teraz one są jej pierwszym dostawcą. Jednocześnie aktualny chiński import z Rosji to nieco ponad 3 proc. chińskiej wymiany handlowej. Więcej Chiny importują dziś z USA, UE, Korei Południowej, Japonii czy Wietnamu. Rosnącą zależność najlepiej obrazuje rynek samochodów osobowych w Rosji. W pierwszym półroczu 2026 r. ponad 40 proc. wszystkich nowych sprzedanych tam samochodów stanowiły auta chińskie. W 2021 r. było ich jedynie 7 proc. Prezydent Trump miał więcej wspólnych tematów do omówienia z prezydentem Xi. Dlatego po debacie z Putinem zostali jeszcze przez dwie godziny. Zjedli wspólny obiad. Prezydenta Rosji do stołu nie zaproszono.

Tak pokazano, że naprawdę liczy się format G2. Wieszczony przez polskie media G3 nie powstanie.

Przyszłość pokaże, co udało się Trumpowi w Shenzhen osiągnąć. Na razie niczym nie może się pochwalić. Klęska jego – i republikanów – w wyborach do amerykańskiego Senatu i Izby Reprezentantów utwierdziła światowych liderów, że „ważność" Trumpa upłynie już po dwóch latach. Potem prezydentem i liderem partyjnym nie będzie. Nie można go traktować jak inwestycji długoterminowej. Zyski z transakcji z nim trzeba realizować szybko. Zwłaszcza że jego prezydentura dowiodła, że USA nie mają zdolności samodzielnego osiągania celów strategicznych poza własną półkulą. Mogą podporządkować sobie Wenezuelę, ale Iranu już nie.

Gdyby Waszyngton chciał poważnie konkurować z Chinami – czego Trump teraz nie robi – musiałby poprosić o pomoc wszystkich swoich sojuszników, na czele z Unią Europejską. A tego prezydent Trump nie potrafi.

Ważnym efektem spotkania G3 w Shenzhen stał się deklarowany tam chiński postulat zakazu używania broni jądrowej w konfliktach, a nawet szantażowania takim użyciem. Rosja przyjęła go do wiadomości już wcześniej, łagodząc swą retorykę w wojnie ukraińskiej.

To ważne, bo Chiny, Rosja i USA kontrolują 90 proc. światowego potencjału nuklearnego.

Czas na Azję

Wizja Jałty 2 zaciemniła sens obrad Forum Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku. Ta powstała w 1989 r. organizacja skupia 21 gospodarek bardzo różnych państw. Wśród nich są Australia, Japonia, Wietnam, Chiny, Korea Południowa, Nowa Zelandia, USA, Rosja. Sekretariat APEC mieści się w Singapurze. Ich współpraca opiera się wyłącznie na deklaracjach politycznych, nie są tam zawierane umowy państwowe. Cele APEC to znoszenie barier celnych, współpraca technologiczna, dążenie do integracji gospodarczej, popieranie wzrostu gospodarczego i sprawiedliwego rozwoju. Dlatego premier Malezji Anwar Ibrahim mówił tam, że małe państwa i gospodarki wschodzące powinny być traktowane z szacunkiem i na równych zasadach. Wzywał do zapewnienia im dostępu do rynków i technologii. „Wyszliśmy już z epoki kolonializmu i imperializmu" – apelował o zmianę zasad współpracy międzynarodowej.

Prezydent Xi opowiedział się za utrzymaniem wielostronnego systemu wymiany handlowej, wzmocnienia Światowej Organizacji Handlu. Zapowiedział dalsze prace nad Strefą Wolnego Handlu Azji i Pacyfiku. Wezwał członków APEC do rozwijania partnerstw naukowych i technologicznych, współpracy w gospodarce cyfrowej oraz sztucznej inteligencji. Oferując chiński rynek przedsiębiorcom, mówił o wykorzystaniu robotów w przemyśle i rolnictwie, pojazdach autonomicznych oraz dostawach realizowanych przez drony. Opisywał Chiny jako miejsce, gdzie nowe technologie można sprawdzać w rzeczywistych warunkach i doskonalić przed szerszym zastosowaniem. Deklarował, że „Chiny nie tylko obniżą cła i rozszerzą dostęp do rynku, ale także pójdą o krok dalej", zapowiadając reformy dotychczasowych reguł, regulacji i standardów. Swą obecność wykorzystywał też prezydent Putin, obiecując stworzenie od stycznia 2027 r. jednolitego systemu preferencji inwestycyjnych na rosyjskim Dalekim Wschodzie i w Arktyce.

Pierwszy raz w Shenzhen byłem 24 lata temu. Było to już wielkie miasto. Centrum produkcji taniej odzieży i sprzętu AGD. Dziś powstaje tam centrum AI na potrzeby całej wspólnoty APEC. Brylujący w polskich mediach „analitycy" tego nie zauważają.

PIOTR GADZINOWSKI

---

i opinią publiczną. Nie dlatego, że powinni zaglądać mu do łóżka, ale dlatego, że prywatne postępowanie osoby posiadającej strategiczne informacje może rodzić pytania o interes państwa. Pytania nie są jednak odpowiedziami.

Tymczasem 20 listopada „New York Times" przedstawił zarzuty obecnych i dawnych pracowników dotyczące stylu zarządzania Huanga. Mowa o poniżaniu, obrażaniu, zastraszaniu. Dziennik przypomniał też spór o z byłym menedżerem personalnym Michaelem Winstonem, zakończony finansową ugodą. Huang zaprzeczył jego oskarżeniom, a ugoda nie stanowi przecież potwierdzenia winy. Obok tych relacji pojawiły się również głosy pracowników chwalących dawnego szefa.

Uderza kontrast: o niewierności małżeńskiej mówiono jak o sprawie wagi państwowej, podczas gdy zarzuty dotyczące pomiatania podwładnymi przez lata pozostawały skromnym przypisem do wielkiej opowieści o sukcesie.

Zaczęła się restauracja cesarza. Pod petycją o powrót podpisały się dziesiątki tysięcy osób, w tym Elon Musk. Donald Trump również opowiedział się za przywróceniem Huanga. Jeszcze 17 listopada przewodniczący rady Nvidii głosił, że spółka nie ma takich planów. Pięć dni później ta sama rada jednogłośnie przywróciła go na stanowisko. Spółka poinformowała o konsultacjach z przedstawicielami administracji USA, po których jakoby doszła do wniosku, że powrót nie stwarza zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego. Dochodzenie wywiadowcze bynajmniej nie zostało jednak zamknięte. Nie sposób nie dostrzec w tym wdzięku. Kiedyś monarcha, chcąc odzyskać tron, musiał zapewnić sobie wojsko i stoczyć kilka bitew. W Dolinie Krzemowej wystarczy petycja, przychylność prezydenta i wiara w niezastępowalnego władcę. Zmiana stanowiska rady była tak rychła, że można by podejrzewać, iż jej zasady obowiązują od posiedzenia do posiedzenia. Niestety, nie znamy motywów głosujących.

Giełda zachowała się po swojemu. 20 listopada akcje Nvidii straciły około 14 proc. Nie był to wyłącznie skutek obyczajowych ekscesów: spadały wyceny firm technologicznych, a prasowe doniesienia mówiły także o zainteresowaniu SEC (w dużym uproszczeniu to amerykański odpowiednik KNF) praktykami księgowymi spółki. Po ogłoszeniu powrotu Huanga, 23 listopada, kurs wzrósł podczas sesji o jedną trzecią. Miliardy dolarów wartości giełdowej wracały, chociaż śledztw nie zakończono, a pytania o postępowanie prezesa nie doczekały się definitywnych odpowiedzi. Rzecz jasna inwestor nie jest sędzią obyczajowym. Kupując akcje, nie rozstrzyga, czy ktoś jest dobrym mężem albo znośnym przełożonym. Jest głodny zarobku. Problem zaczyna się, kiedy to ekonomiczną przydatność człowieka bierze się za dowód jego moralnej niewinności, a giełdowy entuzjazm – za oczyszczenie z grzechów.

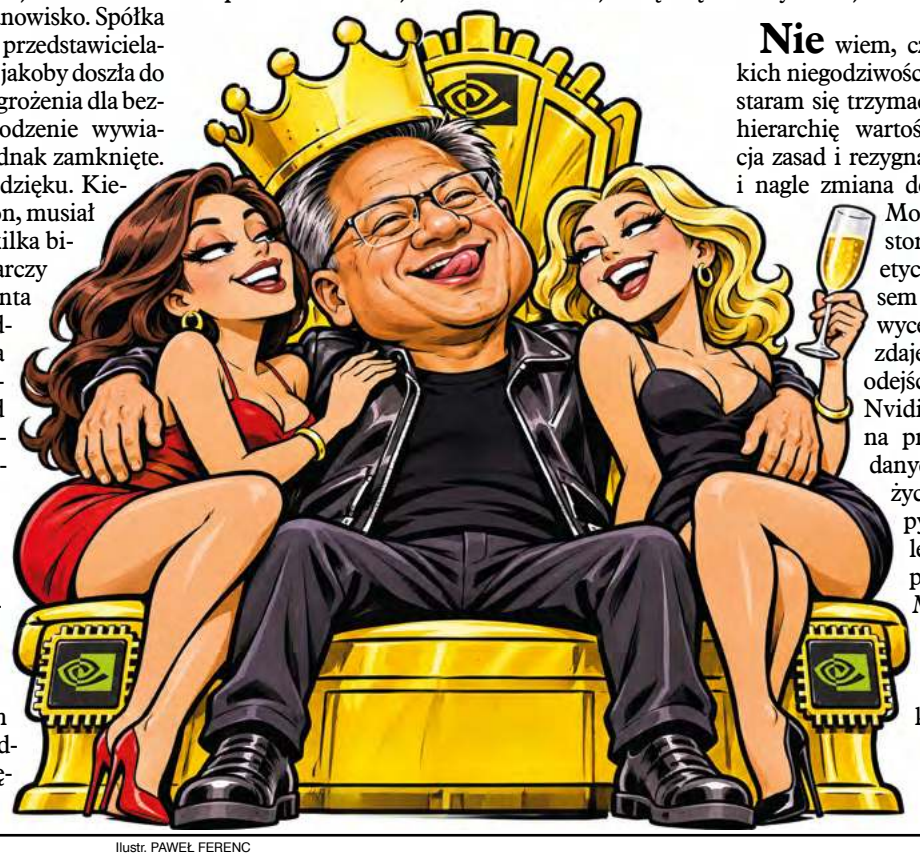

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie wiem, czy Huang dopuścił się wszystkich niegodziwości, które mu przypisano. Dlatego staram się trzymać faktów. Ukazują one osobliwą hierarchię wartości: najpierw surowa deklaracja zasad i rezygnacja, potem kampania o powrót i nagle zmiana decyzji, wreszcie ekstaza rynku. Moralność nie zniknęła z tej historii. Miota się między kodeksem etycznym, interesem państwa, losem pracowników i giełdowymi wycenami. Najbardziej stanowcza zdaje się być wobec tych, których odejście nie wpływa na kursy akcji. Nvidia buduje maszyny pozwalające na przetwarzanie ogromnych ilości danych. W sprawie własnego założyciela pozostawiła jednak wiele pytań bez odpowiedzi. Niezależnie od możliwości AI władza pozostaje czymś bardzo ludzkim. Moralność zaś, jeśli zależy od giełdowego kursu, coraz silniej przypomina nie zasadę, lecz dodatkową kolumnę w arkuszu kalkulacyjnym.

ADAM ZYGMUNT

eprasa.pl 10853f64ab

Są chwile, gdy ludzie Kościoła przypominają sobie o swojej misji

Służew jak Malta

W Poznaniu Kościół sprzedaje ziemię, na której od pokoleń mieszkają ludzie, a w Warszawie zakonnicy oburzają się, że władze miasta ograniczają im możliwość inwestowania na klasztornym gruncie. W obu przypadkach chodzi oczywiście o dobro człowieka, misję chrześcijańską i miłość bliźniego.

Pod koniec października Katolicka Agencja Informacyjna opublikowała dramatyczną wypowiedź przeora klasztoru dominikanów na warszawskim Służewie. Duchowny obwieścił, że po przyjęciu przez Radę m.st. Warszawy miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „przyszłość naszej misji na Służewie stoi pod poważnym znakiem zapytania". Czyżby radni postanowili zakazać odprawiania mszy, spowiadania i głoszenia kazań? Nic z tych rzeczy – uchwalili plan, w którym znalazły się ograniczenia dotyczące zabudowy i ochrony konserwatorskiej okolic klasztoru.

Misja na kredyt

Przeor tłumaczy, że nowe regulacje uniemożliwią zakonowi wykonanie niezbędnych remontów, termomodernizacji, budowy rampy do dostaw żywności oraz dostosowania obiektu do przepisów BHP i przeciwpożarowych. Najciekawsza część jego wypowiedzi pojawia się jednak później. Okazuje się bowiem, że zagrożenie dla misji dominikanów ma związek z inwestycją, którą zakonnicy chcieliby zrealizować na należącej do nich nieruchomości. Chodzi o dom senioralny, dom opieki albo podobną placówkę, która miałaby odpowiadać na potrzeby starzejącego się społeczeństwa, realizować cele polityki senioralnej Warszawy i jednocześnie zapewniać klasztorowi pieniądze. Bo remonty, jak wyjaśnia duchowny, mają kosztować kilkadziesiąt milionów złotych, a część wydatków trzeba będzie pokryć kredytami. Przychody z domu seniora pomogłyby je spłacać.

I oto mamy sedno teologii nieruchomości. Żeby głosić Słowo Boże, trzeba najpierw wybudować obiekt przynoszący przychody. Ale najpierw trzeba dostać zgodę. A jeżeli radni takiej możliwości nie zapewnią, przyszłość misji stoi pod znakiem zapytania. Przez niemal dwa tysiące lat chrześcijaństwo radziło sobie bez domów seniora finansujących spłatę kredytów, a tu proszę...

Przeor zapewnia, że dominikanie nie planują budowy biurowców ani przedsięwzięć deweloperskich. Chcą jedynie domu starców. Tyle że taki zdawałoby się społeczny charakter przedsięwzięcia nie wyklucza zarabiania na nim pieniędzy. Sam zakonnik przecież mówi o przychodach. Tylko po co opowiadać, że nie chodzi o przedsięwzięcie gospodarcze, skoro jego ekonomiczny sens został tak dokładnie wyłożony?

Nie wiadomo, ile miałby kosztować przyszły dom seniora, jaką zajmowałby powierzchnię, ile przewidywano w nim miejsc, jakie byłyby opłaty za pobyt, kto zarządzałby placówką i ile pieniędzy pozostawałoby po pokryciu kosztów jej działalności. Ale dominikanie rozmawiali już z projektantami i firmami od zarządzaniem takimi obiektami. Sprawa wyszła więc poza etap pobożnych życzeń. Zakon szukał sposobu na realizację przedsięwzięcia.

Zabytek przeszkadzający

Awantura zaczęła się od miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Służew w rejonie Klasztoru oo. Dominikanów". Warszawscy radni postanowili objąć ten obszar regulacjami mającymi chronić krajobraz kulturowy i ekspozycję zabudowań klasztornych. Chodzi między innymi o to, aby nowa zabudowa nie przesłaniała widoku kościoła i zespołu klasztornego. Tyle że

kiedy Kościół domaga się ochrony własnych historycznych budynków i świętych miejsc, konserwator jest instytucją pożyteczną. Kiedy jednak ochrona zabytków ogranicza możliwość zagospodarowania kościelnej nieruchomości, konserwator przeszkadza w realizacji misji.

Dominikanie prowadzą kilka postępowań przed Stołecznym Konserwatorem Zabytków. Chcą uzyskać zalecenia dotyczące zagospodarowania działki, pozwolenie na rozbiórkę budynków gospodarczych oraz nowe zalecenia dotyczące termomodernizacji klasztoru. Domagają się również wykreślenia z gminnej ewidencji zabytków domu ekonoma, budynku gospodarczego, piwnicy i fragmentu ogrodzenia. Według zakonników obiekty te nie przedstawiają wartości zabytkowej, a zachowały się tylko dlatego, że przed wybuchem II wojny światowej nie zdążono ich wyburzyć.

To nader interesująca koncepcja ochrony dziedzictwa. Co zakonnicy chcą zachować, powinno zostać zachowane. Co przeszkadza w inwestycji, najlepiej wykreślić z ewidencji. O rzeczywistej wartości obiektów muszą oczywiście rozstrzygnąć specjaliści, ale zestawienie żądań dominikanów pokazuje, że nie chodzi wyłącznie o remont przeciekającego dachu czy ocieplenie ścian.

Zakon przypomina, że budowę klasztoru rozpoczęto w 1935 r. i nie zdołano jej ukończyć przed wojną. Później przeszkadzała okupacja niemiecka, a następnie władze komunistyczne. Teraz kłody rzucają radni i urzędnicy odpowiedzialni za ochronę zabytków.

Maltańska ewangelia

Żeby zrozumieć, dlaczego sprawa warszawskich dominikanów jest interesująca, warto przenieść się do Poznania. Tam bowiem Kościół pokazał, co potrafi zrobić z nieruchomością, kiedy wartość gruntu okazuje się wystarczająco wysoka.

Osiedle Maltańskie zajmuje około 12 hektarów terenu położonego między ul. Warszawską a Jeziorem Maltańskim. To jedna z tych lokalizacji, które dla inwestorów mają szczególny urok. Jest miasto, jest jezioro, jest infrastruktura i jest ziemia, na której można postawić coś dochodowego.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Grunt należał do kościelnej instytucji. Został sprzedany deweloperowi za ponad 400 mln zł. Mieszkańców osiedla trafił szlag. Dla nich działki nie stanowiły abstrakcyjnego składnika majątku, lecz miejsce zamieszkania, niekiedy od kilku pokoleń. W sierpniu doszło do pierwszej głośnej eksmisji. Komornik działający w asyście policji usunął pana Krzysztofa. Podczas czynności doszło do przepychanek z osobami protestującymi przeciwko eksmisji. Potem eksmitowano kolejnych. Tak więc w czasie, kiedy w Warszawie zakonnicy przygotowywali się do walki o możliwość rozwijania działalności na swoim gruncie, w Poznaniu ludzie walczyli o możliwość pozostania w domach stojących na gruncie sprzedanym przez Kościół.

Sytuacje prawne są odmienne. Nie trzeba jednak utożsamiać tych sytuacji, aby dostrzec wspólny element. Jest nim przekonanie, że kościelna własność ma przede wszystkim realizować interes ekonomiczny jej dysponenta, nawet gdy pozostaje to w konflikcie z oczekiwaniami innych ludzi.

W Poznaniu mieszkańcy protestowali przed kościołem, do którego parafii należały sprzedane grunty. Na transparentach pojawiały się hasła odwołujące się do religii, pieniędzy i odpowiedzialności Kościoła. Jedno z nich brzmiało „Bóg czy zysk?". Inne przypominało o 421 mln srebrników. Jeszcze inne sprowadzało cały problem do prostego stwierdzenia: „Maltańskie to nie grunt, to ludzie".

Wróćmy do Warszawy. Tu, na szczęście dla dominikanów, nikt nie próbuje ich eksmitować. Nie ma komornika, który wyważa drzwi klasztoru, i policjantów wyprowadzających zakonników z cel. Ale sprawy warszawska i poznańska pokazują jeszcze jedną prawidłowość. Kościół bardzo dobrze rozumie znaczenie prawa własności. Kiedy jest właścicielem gruntu, chce móc nim swobodnie dysponować. Kiedy na gruncie mieszkają ludzie, przypomina się o przepisach i obowiązkach wynikających z tytułów prawnych. Kiedy natomiast państwo ogranicza możliwość zabudowy kościelnej nieruchomości, natychmiast pojawiają się argumenty o misji, tradycji i dobru wspólnym.

Dominikanie należą do zakonu żebraczego, którego tradycja wiąże się z dobrowolnym ubóstwem i utrzymywaniem działalności dzięki wsparciu wiernych. Współczesny klasztor jest oczywiście instytucją znacznie bardziej skomplikowaną niż średniowieczna wspólnota. Trzeba płacić za ogrzewanie, energię, remonty i utrzymanie budynków. Tyle że między koniecznością utrzymania klasztoru a przekonaniem, że przyszłość misji zależy od realizacji inwestycji, istnieje jednak pewna różnica.

TOMASZ BOROWIECKI

z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *I właśnie dlatego Kościół nie pozwala sobie zamknąć ust.* ***Tam, gdzie katolicyzmowi zakłada się kaganiec, tam cesarz uzurpuje sobie prawa Boskie. Księża muszą wskazywać, gdzie jest prawda. Także w polityce. W przeciwnym wypadku będzie rządzić nienawiść i relatywizm.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 11 listopada

■ *Młodym ludziom, którzy wzrastali w dobrobycie, niczego nie brakowało, ale brakowało Pana Boga, uwagi i obecności rodziców. Bóg to nie jest tylko modlitwa, ale to jest także obecny rodzic, który wysłucha, przytuli, ukocha.* ***To nie jest rodzic, który przysłowiowo wyszarpuje sobie żyły ciężką pracą, bo wiadomo, kocha dzieci i w tym wymiarze chce dać im wszystko, ale jeżeli zapomni po drodze o Panu Bogu, jeżeli zapomni, że to, co najlepsze, może dać swoim dzieciom, pochodzi ze źródła, jakim jest Bóg, to wtedy niestety będzie poczucie jakiejś porażki.***

ks. Sławomir Kostrzewa, TV Trwam, 18 listopada

■ ***Panuje przyzwolenie w mediach, kulturze masowej, polityce, szkole, a nawet rodzinie, na szyderstwo z Boga i Dekalogu (np. aborcja) i instrumentalne traktowanie człowieka (pornografia), a jak dochodzi do tragedii, to jest zaskoczenie.*** *A przecież są to owoce posianego ziarna.*

ks. Janusz Chyła, X, 10 listopada

■ *Wracam jeszcze do kolumny prolife na Marszu Niepodległości. To już któryś rok z rzędu, gdy Fundacja Życie i Rodzina wystawia blok antyaborcyjny i anty-LGBT. (…) Czy wiecie, że II Rzeczpospolita nie zdała egzaminu z obrony tych podstawowych wartości? (…) Tak! W międzywojniu w Polsce mordowano rocznie nawet pół miliona poczętych dzieci! Horror!* (…) ***Być może nie od rzeczy będzie zatem wspomnieć jeszcze jeden wątek – związku upadku duchowego z upadkiem politycznym. Bo na poziomie historiozoficznym – pojawiają się interpretacje, że II wojna światowa, w tym dramat Powstania Warszawskiego, była karą za aborcję, prostytucję i ogólne zepsucie obyczajów, jakie panowało w II RP i w samej stolicy. W wizjach mistyków tamtego czasu wiele razy jest mowa o gniewie Bożym wobec tego, co dzieje się z Polakami. (…) Jeden ze współwięźniów św. Maksymiliana Marii Kolbego z Auschwitz wspominał, że święty franciszkanin tłumaczył pewnego razu, że wojna skończy się wtedy, gdy zginie tylu Polaków, ile przed wojną zabito poczętych dzieci. (…) W objawienia prywatne można wierzyć lub nie. Ale gdy podobny wątek pobrzmiewa w wielu miejscach niezależnie od siebie, nie należy go lekceważyć.***

Kaja Godek, X, 14 listopada



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ *GTA VI jest podobna do wielu innych elementów kultury masowej, w której obecnie żyjemy. Nie jest lepsza ani gorsza od innych filmów czy gier, gdy chodzi o jej oddziaływanie na tych, którzy będą z niej korzystać. Największym problemem moralnym jest uzależnienie od tego rodzaju gier. (…) Nie ma zastrzeżeń etycznych, aby rozsądnie korzystać z gry GTA VI. Owszem, pod warunkiem, że nie przerodzi się ono w uzależnienie.* ***Skorzystanie z sakramentu spowiedzi będzie uzasadnione wówczas, jeśli korzystanie z gry GTA VI stanie się nałogiem lub jeśli będzie prowadzić do przemocy czy agresji.***

ks. prof. Andrzej Kobyliński, O2.pl, 20 listopada

■ ***Nie ma związku przyczynowego między religijnością a chorobą czy tragedią, bo przyczyną tego nie jest Bóg.*** *Związek występowałby wtedy, gdyby Bóg był tego sprawcą. A sprawcą są prawa rządzące światem lub ludzie. Przykładowo, w organizmie Jana Pawła II pojawił się w okrężnicy guz wielkości pomarańczy, który został usunięty w wyniku interwencji chirurgicznej.* (…) ***Był on skutkiem wystąpienia w organizmie pewnych procesów biologicznych (zaburzeń) i Bóg uszanował wolność tych procesów w działaniu.*** (…) ***Bóg nie jest winny naszych chorób ani tragedii. Są one wynikiem funkcjonowania tego świata.***

Waldemar Rakocy CM, Opoka.org.pl, 21 listopada

KLECHA

eprasa.pl 10853f64ab



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kasa, misiu, kasa, edycja europesjka

Finansowe fair play, czyli od teraz gramy uczciwie

Europejski futbol wymyślił system uczciwej rywalizacji, który przypomina nieco średniowieczny feudalizm. Każdy może zostać królem, pod warunkiem że jego ojciec był królem.

114 celnych na 115 strzałów

29 września 2026 r. Premier League oficjalnie poinformowała, że według ustaleń niezależnej komisji w latach 2009–2018 Manchester City za pomocą pozornych umów sponsorskich i innych zabiegów księgowych sztucznie zawyżał swoje przychody i zaniżał koszty. Łączna skala tych operacji przekraczała 900 mln funtów.

Gdyby piłkarze Manchesteru City wykazywali się pod bramką przeciwnika taką skutecznością, z jaką ich klub łamał przepisy finansowe, pobiliby wszystkie rekordy strzeleckie.

114 na 115. Tyle zarzutów postawionych Manchesterowi City uznano za zasadne. Potwierdzono wszystkie zarzuty dotyczące naruszeń finansowych oraz trzy z czterech grup dotyczących niewłaściwej współpracy z organami prowadzącymi dochodzenie. Jedno pudło. Erling Haaland mógłby pozazdrościć skuteczności klubowej księgowej.

Klub nie zgadza się z ustaleniami komisji i w październiku złożył odwołanie. Rozprawa odwoławcza spodziewana jest w grudniu, a rozstrzygnięcie i ewentualne wymierzenie kary – w 2027 r. Wśród możliwych kar są grzywna, odjęcie punktów, a nawet wykluczenie z Premier League. Pojawiają się również spekulacje dotyczące odebrania wcześniej zdobytych tytułów mistrzowskich.

Jeśli chodzi o tempo postępowania, Anglicy postanowili skorzystać z doświadczeń polskiego wymiaru sprawiedliwości. Naruszenia rozpoczęły się w 2009 r., dochodzenie wszczęto w 2018, zarzuty postawiono w 2023, a rozstrzygnięcie ogłoszono w tym roku. Brakuje tylko zakwestionowania statusu członków komisji przez króla.

Pieniądze psują zabawę

Sprawa Manchesteru City pokazuje, jak w praktyce wygląda idea finansowego fair play, choć samo postępowanie prowadzone jest na podstawie przepisów Premier League, a nie UEFA.

Koncepcję opracowano w 2009 r., a pierwsze regulacje weszły w życie rok później. Jej podstawowym celem było ratowanie europejskich klubów przed nimi samymi. Wydatki rosły szybciej niż przychody, kluby się zadłużały, zalegały z wypłatami dla piłkarzy, a niektórzy właściciele obiecywali kibicom Ligę Mistrzów i sprowadzenie gwiazd z zagranicy, ostatecznie sprowadzając komornika.

Kibice mieli nadzieję, że finansowe fair play ograniczy inne zjawisko: budowanie piłkarskich potęg za praktycznie nieograniczone pieniądze pochodzące z bliskowschodniej ropy i gazu albo z fortun rosyjskich oligarchów.

W 2003 r. Chelsea kupił Roman Abramowicz. W 2008 r. Manchester City trafił w ręce inwestorów z Abu Zabi. W 2011 r. katarski fundusz przejął Paris Saint-Germain. Dziesięć lat później saudyjski państwowy fundusz inwestycyjny przejął kontrolę nad Newcastle United.

Dotychczasowe potęgi europejskiej piłki obserwowały, jak do futbolu wkraczają ludzie, dla których zakup najlepszych piłkarzy stanowił wydatek porównywalny z zakupem kompletu opon zimowych.

Real Madryt, Manchester United czy Bayern Monachium przez dziesięciolecia budowały swoje finansowe imperia i wykupywały najlepszych zawodników z mniejszych klubów. Nagle pojawili się ludzie, którzy mogli w kilka lat stworzyć im równorzędnego konkurenta.

Futbolowa arystokracja odkryła, że nadmiar pieniędzy może psuć sport. Odkrycie to nastąpiło, rzecz jasna, gdy okazało się, że ktoś inny ma ich więcej.

Amerykańscy komuniści i europejscy feudałowie

System rzeczywiście służący wyrównywaniu szans ekonomicznych klubów sportowych wymyślili Amerykanie. Ci sami, dla których powszechna publiczna ochrona zdrowia to program Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

W koszykarskiej NBA i lidze futbolu amerykańskiego NFL obowiązuje tzw. *salary cap*, czyli limit wydatków na wynagrodzenia zawodników. W NFL jest on stosunkowo sztywny, w NBA bardziej elastyczny, z wieloma wyjątkami, ale też dodatkowymi ograniczeniami dla najbardziej rozrzutnych drużyn.

Najważniejsze jest jednak to, że podstawowy limit ustalany jest dla całej ligi, a nie indywidualnie dla każdego klubu w zależności od jego przychodów. Do tego dochodzi podział części wpływów z praw telewizyjnych oraz reklam – niezależny od tego, ile dany klub i jego kibice rzeczywiście są warci dla reklamodawców.

Dzięki temu drużyny z mniejszych rynków, takie jak Oklahoma City Thunder czy Green Bay Packers, mogą skutecznie rywalizować z zespołami z Dallas, Nowego Jorku czy Los Angeles.

Amerykanie najwyraźniej uznali, że rozgrywki sportowe są ciekawsze, kiedy przed rozpoczęciem sezonu nie wiadomo, kto wygra.

Europejczycy mieli inny pomysł.

Pierwotne finansowe fair play koncentrowało się na ograniczaniu strat klubów. Chodziło o to, by kluby nie mogły na dłuższą metę wydawać znacznie więcej, niż zarabiają.

Po reformie przepisów z 2022 r. wprowadzono również limit kosztów kadry, wynoszący obecnie 70 proc. przychodów klubu. Limit wydatków obejmuje przede wszystkim wynagrodzenia piłkarzy i trenerów, rozliczane w czasie koszty transferów oraz prowizje dla agentów.

W uproszczeniu: jeżeli jeden klub zarabia miliard euro, a drugi 100 mln, pierwszy może wydać na drużynę 700 mln, a drugi 70 mln.

Wszyscy są traktowani jednakowo, ale duży może więcej.

Uczciwa rywalizacja? Nie przesadzajmy

System pomógł uporządkować finanse europejskiej piłki. Według danych UEFA w 2009 r. europejskie kluby najwyższych klas rozgrywkowych zanotowały łącznie 1,6 mld euro strat netto. W 2018 r. wykazały już 140 mln euro zysku. Znacznie ograniczono również problem zaległości płatniczych. Ochrona klubów przed nieodpowiedzialnymi właścicielami jest potrzebna, choćby dlatego, że właściciel może zmienić sobie klub, a kibic zazwyczaj nie chce.

Czym innym jest jednak zapewnienie stabilności finansowej, a czym innym zapewnienie uczciwej rywalizacji sportowej.

W systemie UEFA największe kluby zarabiają więcej, ponieważ odnoszą sukcesy. Odnoszą sukcesy, ponieważ zatrudniają lepszych piłkarzy. Zatrudniają lepszych piłkarzy, ponieważ wolno im więcej wydawać. Wolno im więcej wydawać, ponieważ więcej zarabiają.

W listopadzie 2025 r. kluby Premier League głosowały nad propozycją wprowadzenia wspólnego pułapu wydatków, powiązanego z kwotą otrzymywaną z centralnego podziału pieniędzy przez klub zajmujący ostatnie miejsce w lidze. Pomysł odrzucono. Zamiast tego od sezonu 2026/2027 wprowadzono podstawowy limit kosztów kadry wynoszący 85 proc. przychodów poszczególnych klubów.

Najsilniejsi nie zgodzili się na opiłowanie swoich przywilejów.

Reklama dźwignią przekrętu

Finansowe fair play ma więc pewne zalety, ale ma też sporą lukę.

Skoro nie można bez ograniczeń finansować klubu pieniędzmi właściciela, ale można wydawać pieniądze pochodzące z działalności komercyjnej, wystarczy znaleźć odpowiednio hojnego partnera komercyjnego. Klubowi menedżerowie szybko nauczyli się omijać przepisy: nie takie przekręty szwagier z szejkiem robili.

W 2014 r. UEFA zakwestionowała wartość kontraktu Paris Saint-Germain z Qatar Tourism Authority, katarską organizacją zajmującą się promocją turystyki. Umowa była warta około 200 mln euro rocznie. UEFA uznała, że rzeczywista wartość rynkowa świadczeń była niższa – bo iluż dodatkowych turystów musiałoby odwiedzić pustynny emirat pod wpływem goli Zlatana Ibrahimovicia, żeby taka inwestycja się zwróciła?

Finansowe fair play jest więc systemem, który łatwo obchodzić, a trudno skutecznie egzekwować.

Manchesterowi City, według ustaleń komisji, nawet tak elastyczne zasady nie wystarczały. Mechanizm miał być stosunkowo prosty. Klub zawierał umowy sponsorskie z różnymi przedsiębiorstwami, jednak sponsorzy pokrywali tylko część deklarowanych kwot. Resztę dopłacał właściciel klubu, Abu Dhabi United Group. W dokumentacji finansowej całość przedstawiano jako przychody komercyjne. W ten sposób pieniądze właściciela, których nie można było bez ograniczeń wydawać na drużynę, stawały się przychodami sponsorskimi.

Unia Wolności z Manchesteru

Żeby zrozumieć, czym pieniądze z Abu Zabi były dla kibiców Manchesteru City, trzeba przypomnieć sobie historię klubu.

W 1998 r. City spadło na trzeci poziom rozgrywkowy. Rok później znienawidzony rywal zza miedzy – Manchester United Aleksa Fergusona – zdobył tryplet: mistrzostwo Anglii, Puchar Anglii i Ligę Mistrzów.

Bycie kibicem Manchesteru City przypominało wówczas bycie wyborcą Unii Wolności w Polsce. Piękne tradycje, szlachetne ideały, wspaniałe wspomnienia, poczucie intelektualnej wyższości nad konkurencją i regularny wpierdol przy urnach.

Wybawienie dla City przyszło we wrześniu 2008 r. z Abu Zabi – klub przejął szejk Mansour. Oficjalnie jego firma Abu Dhabi United Group for Investment and Development to prywatna spółka inwestycyjna. Ale u podstaw fortuny Mansoura leży przede wszystkim fakt, że urodził się w rodzinie panującej w Abu Zabi i jest bratem obecnego prezydenta Emiratów, Mohameda bin Zayeda.

Nowy właściciel niemal natychmiast sprowadził z Realu Madryt Brazylijczyka Robinho za 32,5 mln funtów. Później przyszli kolejni znakomici zawodnicy, trenerzy i inwestycje w infrastrukturę.

W 2012 r. City zdobyło pierwsze od 44 lat mistrzostwo Anglii. W 2016 r. zatrudniło Pepa Guardiolę. W 2023 r. wygrało Ligę Mistrzów i skompletowało potrójną koronę. W 2024 r. jako pierwszy klub w historii angielskiej najwyższej klasy rozgrywkowej zdobyło cztery mistrzostwa z rzędu.

Od przejęcia przez inwestorów z Abu Zabi Manchester City zdobył osiem tytułów mistrzowskich, w tym trzy w okresie objętym ustaleniami komisji Premier League dotyczącymi naruszeń finansowych.

Pieniądze oczywiście same nie gwarantują sukcesu. Manchester United w ostatnich latach wydał ich wystarczająco dużo, żeby udowodnić tę tezę z naukową precyzją.

Pieniądze gwarantują możliwość wielokrotnego podejmowania prób osiągnięcia sukcesu. Jeżeli mniejszy klub pomyli się przy transferze za 30 mln euro, może przez następnych pięć lat leczyć traumę. Jeżeli pomyli się Manchester City, nieudany transfer staje się po prostu kosztownym elementem wyposażenia ławki rezerwowych.

Historia City jest współczesną wersją „Kopciuszka". Z tą różnicą, że dobra wróżka, zamiast zamienić dynię w karocę, podarowała Kopciuszkowi kartę bez limitu.

Nie dla psa kiełbasa

Z polskiej perspektywy dobrze widać, jak bardzo zmieniła się ekonomiczna hierarchia europejskiego futbolu.

Jeszcze w latach 90. Legia Warszawa i Widzew Łódź występowały w Lidze Mistrzów, gdzie potrafiły nawiązywać rywalizację z europejskimi potentatami. Dzisiaj najlepsze polskie drużyny przegrywają rywalizację o zawodników nawet z niektórymi klubami drugiej ligi angielskiej czy niemieckiej.

W sezonie 2024/2025 kluby 2. Bundesligi osiągnęły łącznie ponad 1,2 mld euro przychodów. Tymczasem wszystkie kluby polskiej Ekstraklasy w sezonie 2025/2026, mimo rekordowych wyników finansowych, wygenerowały łącznie około 1,58 mld zł.

Polski futbol pełni wobec zachodnich lig funkcję podobną do tej, jaką przez lata polska gospodarka pełniła wobec niemieckiej: dostarcza stosunkowo tanich, dobrze wyszkolonych pracowników, którzy największą wartość ekonomiczną mają wytwarzać już po przekroczeniu Odry.

Oczywiście nie jest to wyłącznie wina finansowego fair play. Ogromne znaczenie mają różnice w wartości praw telewizyjnych, wpływach reklamowych czy podziale pieniędzy z europejskich pucharów. System UEFA tych nierówności nie stworzył. Potrafi je skutecznie konserwować.

Gdyby jutro znalazł się miliarder, który zapragnąłby uczynić z Legii, Lecha czy Widzewa europejską potęgę, nie mógłby bez ograniczeń powtórzyć drogi Manchesteru City. Chcąc rywalizować w europejskich pucharach, musiałby uwzględnić ograniczenia wynikające z przychodów klubu.

W amerykańskim sporcie ogranicza się możliwości najbogatszych, żeby zwiększyć szanse pozostałych. W europejskim futbolu ogranicza się możliwości pozostałych, żeby przypadkiem nie zaczęli wydawać tyle co najbogatsi.

Manchester City zdążył się wspiąć po drabinie do futbolowej arystokracji. Teraz może zostać ukarany za sposób, w jaki to zrobił. Tymczasem arystokracja może spać spokojnie. Drabinę zabrano, drzwi na salony przymknięto, a przy wejściu postawiono księgowego.

Kto się nachapał, ten się nachapał. Od teraz obowiązuje finansowe fair play.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: AWŁ JDG
wolklaniewska@wp.pl

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa

E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów.
Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Walstead CE Poland, Starachowice
info@walstead-ce.com

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 25.11.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 10853f64ab

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Nienawidzę swądu Kaczyńskiego o poranku – powiedział po angielsku Grzegorz Braun, ubawiony własnym dowcipem. – Powiedzcie mu, że mnie nie ma.

– To nie Kaczyński, tylko jego emisariusz – rzekł Roman Fritz, poseł Konfederacji Korony Polskiej.

– Kto?

– Sasin.

– Niech wejdzie – po namyśle zgodził się Braun.

Jacek Sasin, kiedyś wicepremier, teraz zredukowany do roli gościa Telewizji Republika, lekko się skłonił, zanim zajął wskazane przez Fritza krzesło.

– Przybywam w pokoju – przywitał się.

– Czyli z białą flagą. – Braun pokazał zęby w szerokim uśmiechu. – Chyba zdaje sobie pan sprawę z tego, że nie opłaca nam się z wami rozmawiać. Jesteście ubabrani rządzeniem. Dlaczego my mamy się ubabrać waszym syfem?

– Bo razem mamy większe szanse na pokonanie Tuska – Sasin użył prostych słów i równie prostego argumentu.

– Dla mnie Tusk może rządzić do usranej śmierci – powiedział Braun i dodał: – Śmierci Kaczyńskiego.

– Jego idee pozostaną nieśmiertelne.

Braun poprawił okulary. Sasin dałby wiele, żeby zobaczyć, w jakim stanie jest jego lewe oko, ukryte za czarną przesłoną.

– Panie Sasin – zaczął lider Konfederacji Korony Polskiej – idee Kaczyńskiego mają taką siłę jak jego kolana, może mu pan to powiedzieć. Na osi rzędnych i odciętych ten pana prezes znajduje się na prostej schodzącej.

Sasin nie zrozumiał z tego ani słowa.

– Prezes Kaczyński kazał powiedzieć, że w pakcie senackim możecie liczyć najwyżej na dziesięć procent – powiedział.

– Dwanaście – odruchowo zalicytował Braun.

– Ale każdego waszego kandydata musimy zaakceptować.

– Co drugiego.

– Uznacie wyborczą zwierzchność prezesa i złożycie hołd jemu, a nie Nawrockiemu.

Braun roześmiał się.

– W krainie ślepców jednooki jest królem – rzekł.

Sasin znów nie zrozumiał, co jego rozmówca ma na myśli.

– Co z oczu, to z serca – wtrącił Fritz, bo też chciał mieć coś do powiedzenia.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN po dwóch miesiącach wróciła z Zielonej Góry do Gdyni. **AGNIESZKI WOŁK-ŁANIEWSKIEJ** nie odwiedziła po drodze.

Senyszyn: – Ale wiesz, że to nie jest po drodze?

Wołk-Łaniewska: – Oj tam, oj tam, mogłaś odrobinę nadłożyć.

– 350 kilometrów.

– Serio?

– Serio. Widziałaś kiedyś mapę Polski?

– Generalnie tak, ale mam słabą pamięć wzrokową. No dobra, tym razem wybaczam. Opowiadaj, jak się czujesz.

– Znakomicie. Jestem zachwycona wynikiem. W zupełnie nowym środowisku, bez struktur i politycznego zaplecza, finansując kampanię z własnych pieniędzy, zajęłam trzecie miejsce z wynikiem 15 proc. Podczas gdy kandydatka koalicji rządzącej miała niespełna 43 proc., a kandydat popierany przez dwie największe partie opozycyjne, który były prezydentem Zielonej Góry przez 18 lat – 30 proc.

– Choć ktoś poczynił niepozbawione słuszności zauważenie, że fakt, iż PiS i Konfederacja wystawiły kandydata SLD, nie wróżył temu mariażowi sukcesu…

– To prawda: Kubicki był zielonogórskim baronem SLD i wygrał wybory na prezydenta miasta jako kandydat Sojuszu. Ale potem się przepisał do PO, a potem jeszcze do PSL, aż w końcu wylądował z poparciem PiS i Konfederacji.

– Można powiedzieć, że zaszedł daleko w prawo…

– Dalej jest tylko tylko Braun. Którego kandydata wyprzedziłam, co też mnie cieszy – zwłaszcza że brauniści w sondażach stale wyprzedzają czarzastych.

– Ktoś na FB obliczył, że gdyby to były wybory parlamentarne, to według d'Hondta miałabyś piąty mandat. I dobra, wiem, że tego się tak nie przelicza, bo tylko cztery komitety etc. – ale to fajna wiadomość.

– A przede wszystkim znakomita prognoza dla Nowej Fali na przyszłoroczne wybory parlamentarne. 15 proc. to więcej niż kandydatki Zandberga i Czarzastego miały łącznie w Krakowie. O nieudolności rządzących świadczy mikroskopijna frekwencja: 13,78 proc. I to mimo że wojewoda obiecywał, że gmina, która wykaże się najwyższą frekwencją, zostanie nagrodzona…

– A czym?

– Wybitnym honorem, jakim jest „szansa zostania gospodarzem jednego ze świąt państwowych organizowanych przez Wojewodę Lubuskiego". I zanim zapytasz, czy sobie jaja robię: nie, naprawdę lubuski urząd wojewódzki urządził taką „kampanię frekwencyjną".

– No patrz, nie połasili się… Dziwne. I owszem, mówię to z pewną złośliwością wobec wyborców. Albowiem mam poczucie, że tak jak Tusk tresuje współpracowników i koalicjantów, żeby robili wszystko, co im każe…

– Na przykład wybrali Berka do Trybunału Konstytucyjnego…

– …tak samo zaczął tresować elektorat. Od dawna wiemy, że Donald Tusk nie uważa, żeby ludzie, z którymi pracuje, zasługiwali na szacunek – a teraz okazuje się, że myśli to samo o wyborcach. I może nie zasługują, skoro łyknęli wdowę jak świnia kluskę...

– Po pierwsze – jeszcze raz ci mówię: odczep się od świń! To bardzo mądre zwierzęta o wysokim stopniu asertywności. A po drugie: wcale nie łyknęli. Gen. Różański dostał 104 tys. głosów, a jego żona – 14 tys. W ciągu dwóch lat koalicja straciła w tym okręgu 90 tys. wyborców. Więc wyborcy aż tak pokorni nie są.

– A propos twojego wyniku: słyszałam, że Czarzasty znowu zaproponował ci koalicję.

– Mnie niczego nie proponował, bo dobrze wie, co o nim myślę. Od sześciu lat nie rozmawialiśmy. On to mówi do lewicowego elektoratu, bo chce się kreować na zjednoczyciela. To czysta obłuda, okłamywanie wyborców i robienie z gęby cholewy. Nie poparł mnie w Zielonej Górze, bo jest dogadany z Tuskiem, a przynajmniej się łudzi, że na listach KO siebie i kilku totumfackich przepchnie do sejmu i senatu. Dlatego specjalnie przyjechał promować Różańską. Pan każe, sługa musi. Za to dzień po wyborach znów ogłosił, że chce wspólnej listy z Razem i „partią pani Senyszyn". Bo on na Nową Falę mówi z uporem maniaka „partia pani Senyszyn"…

– A ty na jego „czarzaści", więc jesteście kwita.

– Ja mówię na nich „czarzaści", bo nazywanie ich lewicą, a już tym bardziej nową, obraża inteligencję wyborców. Czego ja, w odróżnieniu od Donalda Tuska, nigdy nie robię.

– A skoro już się tak zgadało o czarzastych: słyszałaś najnowsze hasło polskiej parlamentarnej lewicy?

– Nie, trochę zajęta byłam…

– Mała podpowiedź: 227.

– Co: 227?

– Rozkaz. Serio! We Wrocławiu w połowie listopada Nowa Lewica zorganizowała sobie imprezę pod hasłem „Ani kroku wstecz!". I naprawdę chciałabym wierzyć, że współczesna polska lewica przeciwstawia się w ten sposób załgiwaniu historii, w którym specjalizował się zawodowo aktualny prezydent – i oddaje hołd bohaterstwu narodu radzieckiego i Armii Czerwonej, która wyzwoliła nas spod hitlerowskiej okupacji kosztem życia 600 tys. żołnierzy…



Ilustr. KROKODYL

– No, ale cytowanie Stalina to jednak krok za daleko…

– I dlatego jestem przekonana, że oni po prostu nie wiedzą, co mówią. Więc wyjaśnijmy, choć nasi zasłużeni Czytelnicy to wiedzą na pewno – ale może jakiś młody się trafi: „Ani kroku wstecz!" to rozkaz Józefa Stalina z 28 lipca 1942 r., wydany w odpowiedzi na klęski Armii Czerwonej, dezercje oraz niemiecką ofensywę w kierunku Stalingradu. Był zakazem nieautoryzowanego odwrotu…

– Przewidywał karne bataliony i kompanie dla cofających się żołnierzy. Ponieważ czarzaści w ramach koalicji 15 października cofnęli się ze wszystkich lewicowych obietnic, jest to dla nich hasło logiczne. Skoro stoją pod ścianą, cofnąć się nie mogą, choćby chcieli. Za to absurdem jest uznawanie, że to hasło postępowe. Nie po to w 2023 r. obalaliśmy rządy PiS-u, żeby się dalej nie cofać, ale żeby pójść do przodu. W 100 konkretach, na które się nabraliśmy, było świeckie państwo, przestrzeganie konstytucji, prawo kobiet do samostanowienia, 60 tys. zł wolne od podatku, rozliczenie pisowskiego złodziejstwa…

– Mnie szczególnie interesuje fakt, że nikt nie powiedział obywatelom, że będą płacić Trumpowi haracz, kupując tony absurdalnie drogiej amerykańskiej broni i budując bazę za miliardy – kosztem np. badań przesiewowych, podwyżek dla nauczycieli czy środków na asystencję osobistą i opiekę wytchnieniową. Czytelnicy zgłaszają też uwagi do faktu, że w budżecie na 2027 r. jest 11 mln zł więcej na Fundusz Kościelny niż w roku bieżącym, który też był pod tym względem rekordowy.

– Można by tak w nieskończoność podawać przykłady spleśniałej kiełbasy wyborczej. Akurat Fundusz Kościelny to najmniejsze pieniądze, jakie idą na Kościół. Ciągle przepływają do kleru miliardy, a nie miliony. W dodatku Tusk nigdy nie chciał likwidować Funduszu Kościelnego.

– Chciał go przekształcić w odpis podatkowy – taki jak na organizacje pożytku publicznego – co oznaczałoby jeszcze więcej pieniędzy dla Kościoła na koszt państwa.

– Oczywiście. Mówiłam to wielokrotnie i może wreszcie dotarło: to oznaczałoby dawanie z budżetu nie 300 mln zł rocznie, ale 1,5–2 mld. Jedynym rozwiązaniem jest podatek kościelny płacony przez wiernych z własnej kieszeni. Ale tego nawet czarzaści boją się zaproponować i tylko trują o likwidacji funduszu. Ale dość polityki. Czy wiesz, że Malaga jest najlepszym na świecie miejscem do zamieszkania?

– Dla ekspatów. Czyli imigrantów. Pytanie, czy tubylcy są z tego powodu bardzo szczęśliwi…

– Tubylcy zazwyczaj nie są szczęśliwi.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 10853f64ab